18.-IV. 1931 CENA NUMERU 1 ZŁ. 50 GR. Nr. 16

TYGODNIK ILLUSTROWANY

PREZYDENT REPUBLIKI FRANCUSKIEJ DOUMERGUE WYJECHAŁ Z PORTU VILLEFRANCHE NA KRĄŻOWNIKU „COLBERT" DO ALGERU I TUNISU

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA ZGODA 12

MODY

WYTWORNE
DAMSKIE
MĘSKIE

„AU PAVILLON DE VARSOVIE"

WARSZAWA, MONIUSZKI Nr. 11. TEL. 786.00

„Tygodnik Illustrowany" dociera do najdalszych zakątków kraju, czytany jest we wszystkich warstwach inteligencji, dlatego też zamieszczane w nim ogłoszenia mogą liczyć na niezawodne zainteresowanie tysięcy czytelników

Ceny biletów samolotowych zrównane z cenami biletów kol. III kl.

Zarząd **Polskich linij lotniczych „Lot"**, pragnąc przekonać najszerszą publiczność o tem, że komunikacja powietrzna nie jest bynajmniej komunikacją sezonową, letnią i że można bardzo wygodnie podróżować samolotem przez cały rok bez przerwy, a wreszcie udostępnić ją najszerszemu ogółowi, w tegorocznym okresie zimowym, t. j. od 15.XI.1930 r. do 15.III.1931 r. udzielać będzie 40% i 50% zniżek od normalnych cen taryfowych. 40%-wa zniżka ceny przysługiwać będzie wszystkim, 50%-wa zaś stałym członkom L. O. P. P., t. j. takim, którzy przynajmniej przez 6 miesięcy przed dniem wykupna biletu opłacali regularnie składki członkowskie.

Dzięki wprowadzeniu wyżej wspomnianych zniżek, ceny biletów samolotowych z Warszawy będą wynosić (cena pierwsza: przy zniżce 40%, druga: dla członków L. O. P. P., trzecia: 3 kl. poc. pośp.):

do Bydgoszczy:	zł. 32.40	zł. 27.—	zł. 23.40
do Katowic:	„ 36.—	„ 30.—	„ 26.40
do Krakowa:	„ 42.—	„ 35.—	„ 29.20
do Lwowa:	„ 45.60	„ 38.—	„ 38.—
do Poznania:	„ 39.—	„ 32.50	„ 25.80
do Gdańska:	„ 48.60	„ 40.50	„ 30.80
do Brna:	„ 60.—	„ 50.—	„ 47.80
do Wiednia:	„ 73.20	„ 61.—	„ 61.—
do Bukaresztu:	„ 120.—	„ 100.—	„ 85.60

Jak widzimy, ceny biletów samolotowych, które mniej więcej równają się cenom biletów kolejowych 3-ej kl. pociągów pośpiesznych, pozwolą wszystkim na korzystanie przy każdej sposobności z komunikacji samolotowej, która — jak to ogólnie wiadomo — jest stuprocentowo bezpieczna, najszybsza i najwygodniejsza.

W związku z prowadzeniem w życie tej godnej uznania inowacji, nadmienić się godzi, że samoloty P. L. L. **„Lot"** są ogrzewane, dzięki czemu pasażerowie nie potrzebują ubierać się specjalnie ciepło oraz, że 10-cio osobowe samoloty P. L. L. **„Lot"** urządzone są z pełnym komfortem (wygodne fotele, oddzielne kajuty na bagaż i pocztę, toaleta i t. p.), a wreszcie, że w miastach gdzie porty lotnicze odległe położone są od centrum, P. L. L. **„Lot"** odwożą pasażerów bezpłatnie samochodami na lotniska oraz z lotnisk do śródmieścia.

W ciągu tegorocznej zimy samoloty kursować będą na następujących szlakach powietrznych w obu kierunkach:

codziennie (z wyjątkiem niedziel):

Warszawa — Bydgoszcz
Warszawa — Gdańsk
Warszawa — Lwów
Warszawa — Kraków
Warszawa — Poznań

trzy razy w tygodniu:

Lwów — Galati — Bukareszt
Kraków — Brno — Wiedeń
Kraków — Wiedeń.

UWAŻAJCIE NA ORYGINALNY STEMPEL: NAZWĘ FIRMY I ZNAK ORŁA

CHLUBĄ POLSKIEGO PRZEMYSŁU POŃCZOSZNICZEGO

JEST ELEGANCKA, WSPANIAŁA, PRAKTYCZNA, A PRECYZYJNIE WYKONANA

POŃCZOCHA „BEMBERG"

WYSTRZEGAĆ SIĘ LICZNYCH FALSYFIKATÓW!

INFORMACJE przez wszystkie biura podróży, przez T-wo „Unitas" Warszawa, Miodowa 10, oraz przez Zarząd UZDROWISKA KARLSBAD.

Naturalną wodę mineralną oraz naturalną sól źródlaną wysyła Karlsbader Mineralwasserversendung Löbel Schottländer G. m. b. H. Karlsbad.

CHOROBY PŁUC

Stosowany przez p. p. Doktorów „Balsam Thiocolan'Age" przy gruźlicy, bronchicie, kaszlu ułatwia wydzielanie się plwociny; wzmacnia organizm i samopoczucie chorego, powiększa wagę ciała. **„Balsam Thiocolan'Age"** sprzedają apteki. Żądajcie tylko w oryginalnem opakowaniu A. GĄSECKIEGO.

DROGA DO ZDROWIA!

CHORZY UZYSKUJĄ ZDROWIE UŻYWAJĄC

Zatwierdzone przez Departament Służby Zdrowia

ZIOŁA LECZNICZE Mag. E. WOLSKIEGO

„BILLOSA" leczą niezawodnie cierpienia wątroby i woreczka żółciowego, usuwają kamienie żółciowe.

„DEGROSA" leczą nadmierną otyłość, powodują prawidłową przemianę materji w organiźmie.

„GASTROSA" leczą chroniczną obstrukcję i wszelkie zaburzenia żołądkowe i kiszkowe, idealnie regulują trawienie i chronią od hemoroidów.

„LARYNGOSA" leczą bóle stany zapalne (anginy) gardła, krtani, migdałków, zapalenia dziąseł i okostnej.

„PASIVEROSA" usuwają bezsenność nerwową, idealnie regulują czynność serca i cały system nerwowy.

„PULMOSA" leczą choroby płuc. Usuwają kaszel i zaflegmienie. Wzmacniają organizm, przywracają apetyt.

„REUMOSA" usuwają cierpienia reumatyczne, artretyczne i ischiasu. Rozpuszczają kwas moczowy.

„UROSA" leczą cierpienia nerek i pęcherza. Usuwają wszelkie niedomagania dróg moczowych.

Broszury wysyłamy na żądanie bezpłatnie.
Główna sprzedaż: **Warszawa, Nowogrodzka 46, tel. 326-98.**

STARKA Langnera

ŻĄDAĆ W HANDLACH WIN i RESTAURACJACH

Sklep własny

Marszałka Focha № 8, przy pl. Teatralnym.

SKŁAD FORTEPIANÓW

WARSZAWA KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 17

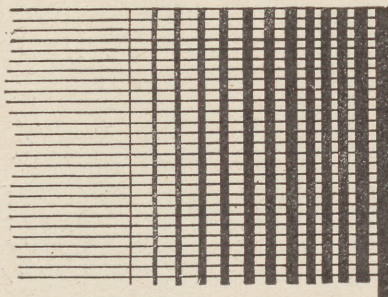

MĘSKIE KRAWIECTWO

BOGUSŁAW HERSE

NA ZAMÓWIENIE

GARNITURY Z PIĘKNYCH KAMGARNÓW I SZEWIOTÓW BIELSKICH / NOWOŚCI WIOSENNE / NA PIERWSZORZĘDNYCH PODSZEWKACH zł. 375

GARNITURY Z ANGIELSKICH MATERJAŁÓW „SPORTEX" I INNYCH, NA ANGIELSKICH PODSZEWKACH zł. 500

GOTOWE

PŁASZCZE TRENCHCOAT zł 95.

GABARDINOWE zł 145.

MODNE PALTA PRZERABIANE Z PIĘKNYCH BIELSKICH MATERJAŁÓW zł 250.

Bóle głowy zatruwają radość życia.

Szybko i pewnie pomagają w tym wypadku prawdziwe tabletki

Aspirin.

Tabletek Aspirin żądać tylko w oryginalnem opakowaniu z czerwoną opaską ze znakiem „Bayer".

Cena:
6 szt. zł. 1.10 — 20 szt. zł. 2 75.

BAYER

BROCARD & Cie

WODA KOLOŃSKA KWIATOWA

FLEURS POLONAISES

KWIATY POLSKIE

ZAPACH WYTWORNY I DŁUGOTRWAŁY

TYGODNIK ILLUSTROWANY

Nr. 16 OGÓLNEGO ZBIORU 3,723 18 KWIETNIA 1931

AUTOMOBILIŚCI I MOTOCYKLIŚCI W SPALE

Start motocykli do raidu Warszawa—Spała—Warszawa, urządzonego przez Polski Touring Klub Fot. W. Pikiel

Defilada zawodników w Spale przed Panem Prezydentem Rzeczypospolitej. W raidzie wzięło udział 116 samochodów i 17 motocykli Fot. J. Ryś

W DOBIE KRYZYSU I ZNIECHĘCENIA

Nie potrzeba nadmiernej spostrzegawczości, by stwierdzić, że w życiu polskiem zaczął się okres depresji i przygnębienia. Wyjdźmy na ulicę, popatrzmy na posępne twarze, zauważmy tysiąc machinalnych ruchów, które wyrażają już to obojętność, już to bezradność i jakby bezcelowość tego wzajemnego mijania się przechodniów. Uśmiechu bywa coraz mniej, oczy błyszczące odblaskiem myśli, która coś zamierza i coś konstruuje, spotykamy rzadko. — Ale gdy spotkamy — to z uczuciem ulgi, i reagujemy na to zjawisko odruchem świadomości, że przygaszona energja znalazła przecież schronienie tu i ówdzie, że zatem jest jakieś jej oddziaływanie na życie codzienne. Najprościej byłoby wtedy pomyśleć, że takie spotkanie wróży dobrze i zachęca do przezwyciężenia pesymizmu i apatji. Może właśnie taki prosty wysiłek wiary okaże się skuteczniejszy, niż szukanie odpowiedzi na pytanie: kiedy to się skończy, kiedy się „przesili kryzys", kiedy będą pieniądze? Któż bowiem w tych ciężkich czasach jest dość kompetentny, by zaspokoić pomyślnie naszą ciekawość?

Kryzys jest ogólno-światowy — czytamy ustawicznie tę diagnozę, wierzymy jej, bo istotnie kryzys ten jest wszędzie. Przyczyna jego tkwi w zbożu, lub w nafcie, to znów w dumpingu sowieckim, albo wogóle jest poza tem wszystkiem, natomiast płacimy teraz dopiero wraz z całym światem za wojnę. I wiele jeszcze argumentów innych usiłuje nas przekonać, dlaczego jest źle, z drugiej zaś strony tyleż argumentów przemawia w obronie takich czy innych środków zaradczych. Ale cokolwiek o tem wszystkiem czytamy i wiemy — nie wiemy przecież, kto naprawdę może — jeżeli już nie przyjść z ratunkiem — to właśnie uspokoić nas co do czasu trwania coraz cięższego „kryzysu". Dlatego wszystko zdaje się sprzyjać rozwijaniu się innego jeszcze kryzysu: wiary w konieczność przetrwania i działania na kurczącym się z każdym dniem terenie pracy, wyznaczonej każdemu, przez każdego obranej.

*

Tereny te się kurczą. Przykłady tego stanu rzeczy rzucają się w oczy — „Niech nam wierzą urzędnicy, że ogół obywateli decyzję rządu w sprawie obniżki pensyj urzędniczych przyjął z całkowitą aprobatą" — pisze poważny organ prasowy. Dajmy na to, że ogół obywateli przyjął tę — jak się zdaje — nieodzowną decyzję bez „całkowitej" przynajmniej aprobaty — pocóż łudzić się i nie patrzeć w oczy prawdzie. Ważniejsze jest to, że następstwa tej bolesnej operacji, dokonanej na skromnym budżecie urzędnika i oficera działają nieuchronnie w kierunku ograniczenia jego ekspansji życiowej, w pierwszym rzędzie zaś na niekorzyść jego potrzeb kulturalnych.

Były to potrzeby zawsze poważne. Odbiorca słowa drukowanego, książki, czasopisma — polski funkcjonarjusz państwowy nie ustępował swojemu koledze zagranicznemu. Podobnie zresztą jak urzędnik prywatny i jak cała olbrzymia rzesza pracowników umysłowych. W zakresie zainteresowań intelektualnych i wogóle kulturalnych nastąpią obecnie, bo muszą nastąpić jakieś zwężenia i jakieś ograniczenia. Decyzja była konieczna, zapewnia rząd i nie mamy powodu wątpić, że tak jest, że mianowicie nie dało się ani zmniejszyć uchwalonej zniżki, ani zamiast niej znaleźć inne źródło wyrównania budżetu. Zbytecznie też będzie łudzić się, że przykład rządu nie oddziała konsekwentnie na stosunki w administracji prywatnej. Zrozumieć to wszystko — znaczy mniej więcej — pogodzić się z nowemi warunkami. Ale tylko mniej więcej, boć nikt nie może wymagać, by aprobata była „całkowita".

Natomiast jako najpilniejszy postulat powstaje w tej chwili konieczność obrony przed moralnemi następstwami zubożenia materjalnego, które zaznaczać się będą coraz dotkliwiej. Czas jest na ratowanie lasów a nie róż — ten odwieczny pretekst ma dziś wszelkie szanse do zatriumfowania i problem walki sprowadza się do unicestwienia tego triumfu. Nie będzie chyba przesadą użycie terminu walka — o rzeczywistość naszego życia. O to jej przezwyciężanie, którego postać kształtować się będzie na każdym odcinku — w domu, w pracy, w szkole, w zdwojonej trosce o naukę dziecka, w stwarzaniu kompromisu między pożywieniem a lekturą książki i pójściem do teatru.

Walka będzie tem trudniejsza ale i tem ofiarniejsza, że proporcja między zniżkami płac a zniżką cen jest, na razie przynajmniej, formułą teoretyczną, zniżka kosztów utrzymania jest raczej aktem dobrowolnego ograniczania się obywatela, niż spotykanem przezeń, objektywnie danem zjawiskiem. Odnosi się to oczywiście do artykułów żywnościowych i przedmiotów pierwszej potrzeby.

W takich więc warunkach musi być osiągnięty ten wysiłek i ten cel, jakim jest zachowanie ciągłości życia kulturalnego, niezmniejszanie wkładów, które każdy obywatel w nie wnosi, utrzymanie najwyższego możliwie napięcia i poziomu polskich spraw ducha. Kryzys gospodarczy rozpanoszył się wszędzie, ale osłabienie tętna tych rzeczy w innych krajach Europy jest minimalne. Zagospodarowane i potężnie zorganizowane narody Zachodu odczuwają, rzecz prosta, w mniejszym stopniu ujemne działanie złej konjunktury. Dysponują rezerwami pieniężnemi i kulturalnemi. Nie przerywają ciągłości życia konstrukcyjnego, zachowują swój stały rytm troski o sztukę i literaturę.

Nam brak rezerw i pieniężnych i kulturalnych. Wszystkie siły, jakiemi naród rozporządza w tej dziedzinie, są oddawna w pracy, w akcji bojowej, w działaniu o indywidualność narodu, o jego własne oblicze i własną postawę. Wysiłek jest cięższy i trudniejszy, niż w krajach, gdzie poeci tworzą w znośnych warunkach, są uznawani nietylko w myślach, słowach i recenzjach, ale i w formie realnego dobrobytu.

Niema co taić. „Kryzys", rozszerzając swe zgubne macki na wszystkie dziedziny naszego życia, grozi zmniejszeniem dobroczynnego promieniowania sztuki i słowa twórczego. Tu właśnie konieczne jest przeciwdziałanie i obmyślenie środków zapobiegawczych.

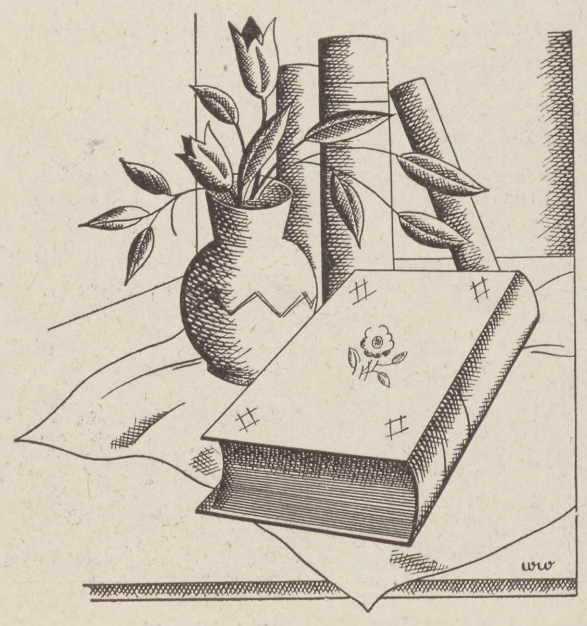

Praca ta wymaga raczej indywidualnego wysiłku, niż akcji zbiorowej. Prowadzona jednak pod znakiem przezwyciężenia depresji i ocalania „na własnem podwórku" każdego obywatela jego dotychczasowego udziału w życiu kulturalnem, jego najskromniejszego nawet wkładu do ogólnego zapasu zdobyczy cywilizacyjnych narodu — wcześniej czy później stanie się akcją kolektywną, choćby bez stowarzyszeń i statutów. Najpraktyczniej możnaby to wszystko sformułować w pewne wskazania: mimo wszystkich objawów zubożenia i mimo osobistych niewygód nie rezygnujemy z książki, ani z teatru, ani z prenumeraty czytanego dotychczas pisma; mimo szerzącej się apatji, akcentujemy wobec siebie i wobec najbliższych dodatnie strony życia (bo jest ich aż nadto); nie tracimy ufności, że właśnie życie, pełne nieprzewidzianych możliwości, okaże się wkońcu najlepszym regulatorem wszystkich kryzysów; uznajemy, bo uznać musimy, że jako pokolenie włączone do niezakończonego jeszcze procesu skutków wielkiej wojny, jesteśmy w dużej mierze szczeblem do — dobrobytu pokolenia młodszego, zaczynającego dopiero życie, tego pokolenia, do którego należeć będzie prawdziwie lepsza przyszłość; nie wątpimy wreszcie o sile i odporności społeczeństwa, które tyle razy w ciągu ostatniego stulecia przeżyło i przezwyciężyło długie okresy klęski, marazmu i zwątpienia.

*

„Kryzys" uwypuklił niezałatwione dotychczas problemy polityczne, wysunął ponadto nowe zagadnienia. Wszystkie te sprawy są dziś równie aktualne, jak były przed rokiem w dobie lepszej konjunktury. Ale na to należy zwrócić uwagę, że zainteresowanie dla tych zagadnień osłabło. Naczelne sprawy: reforma ustroju i nowa konstytucja dyskutowane będą, opracowywane i uchwalane w atmosferze depresji psychicznej. Lepiej to powiedzieć sobie szczerze już teraz, by móc podniecić uwagę społeczeństwa i przypomnieć mu, że obowiązek uczestnictwa w zapowiadających się debatach parlamentarnych, w formie szczerego dla nich zainteresowania, nie ustał bynajmniej.

Byłoby zapewne lepiej, gdyby reforma dokonała się w latach ubiegłych, gdy warunki były dla niej korzystniejsze. Przeprowadzana jednak w najbliższej przyszłości, dojdzie do skutku, być może, w lepszych warunkach, niż to być może za rok. Jeżeli bowiem mamy wierzyć „fachowcom" (choć na szczęście mylą się oni często), zasadnicza poprawa będzie polegać na tem, że społeczeństwo coraz lepiej będzie się przystosowywać do niepomyślnej sytuacji, inaczej mówiąc, że „będzie gorzej".

Reforma administracji — oto dalszy jeszcze postulat naszego życia państwowego, który urzeczywistniać się będzie pod naciskiem trudności gospodarczych. Załatwienie tych i całego szeregu innych jeszcze konieczności państwowych wymaga współpracy wszystkich obywateli, szczerego zainteresowania z ich strony, które będzie niezbędną pomocą dla rządu i izb prawodawczych. W tym zakresie wysiłek obywatelski jest nakazem, górującym ponad wszelką słabością, ponad zniechęceniem i apatją. Ewolucja świadomego przezwyciężania trudności osobistych, wynikających z ciężkiej sytuacji, w kierunku odrodzenia wspólnoty społecznej jest realną i konieczną pomocą dla państwa.

St. R.

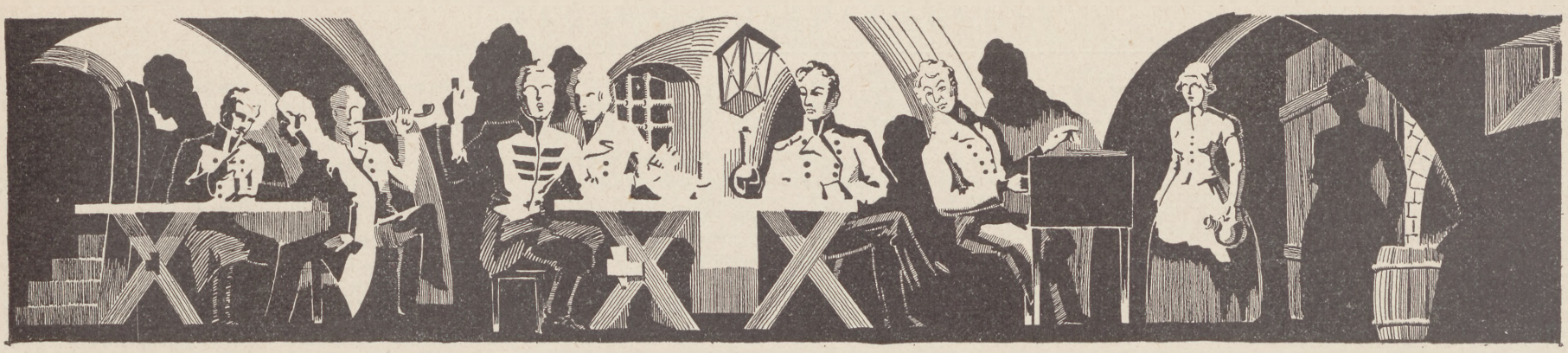

HONORATKA

Goście się zachowują figlarnie, lecz dwornie,
Akademik — poeta — oficerek dzielny;
Umie być Honoratka, zgiełkliwa pozornie,
Cichą, jak spisek nocny lub jak szept kościelny.

Dziwny tu jest obyczaj, oddawna przyjęty,
Że wszyscy znać się muszą: obcych się nie znosi;
Ale, choćbyś był goły, jak turecki święty,
Poncz, fajkę i fidibus dostaniesz od Zosi.

Śpiewa Stach z Zamiechowa urocze piosenki,
Na hiszpańskiej gitarze przygrywa Zaleski,
A czasami czaruje służebne panienki
Szopenek taki piękny, jak anioł niebieski.

By dobył z klawikordu pieśń gwiazd i eteru,
Z lekkim Frycka oporem ściągnął go Witwicki,
Bo nie łatwo tu sfrunąć prosto z Belwederu,
Po muzycznym wieczorze u księżnej Łowickiej.

Ten, co wkrótce polegnie, młody Suchodolski,
Coś o więźniach na Lesznie i Moskalach nuci;
Jaki być rząd powinien z pęt wyrwanej Polski
Gromami się Mochnacki z Lelewelem kłóci.

Niekiedy pod kawiarnią ktoś łazi, ktoś czeka,
To do wnętrza, jakgdyby przez omyłkę wbiega, —
A nazajutrz Konstanty pieni się i wścieka
I wrzeszczy: „Lubowidzki! znów ubili szpiega!"

Nagle w trakcie rozmowy na stół młodzian wskoczy:
Nabielak czy Nebaby śpiewak ukraiński,
I rozgorą jak żagwie płomieniste oczy,
I z kazamat Zamościa mknie jęk: Łukasiński!

Jeszcze chwila, i chórem zatrzęsą się ściany,
Nikt nie zważa czy Makrot nie słyszy lub słyszy,
I pieśni Marsylczyków, co depce tyrany,
Koncertant Belwederu, Chopin towarzyszy.

Jakoś na Saskim Placu parada utyka
I z cywilną ludnością nie idzie jak z płatka;
Toż wraz to akademik, to oficer znika —
A gdzie: wie cesarzewicz — i wie Honoratka.

Wykrwawia się w kawiarni noc zemsty i szału...
Furczą lance pod Stoczkiem... grzmią grochowskie fronty...
Zamilknij! to na sercach z ognia i z kryształu
Pisze muza: Listopad Dwudziesty Dziewiąty...

TARG NA RYNKU

Pstrokate biją barwy małego przechodnia
Oszołomiony targiem w Stare Miasto patrzę,
Słońce dnia upalnego gore, jak pochodnia
I wyjaskrawia obraz, jak scenę w teatrze.

Tak się tu czuje dzieciak, jak w ogromnej szopce,
W której ktoś niewiadomy pociąga za sznurki,
Jest zemną moja mama w babcinej salopce
I dziwne mi na Rynku objaśnia figurki.

Wszystko wkrąg mej osoby kręci się i kipi
I jakby ujazdowski wichrzy się bałagan,
Okręt w sieni Fukiera przyjacielsko skrzypi
I tęsknie tam spoziera każdy Rynku stragan.

Przekupka, którą lekko na grosze oceniasz,
Miód płacąc, koprowinę wymienia na stówki,
A z wstążką orderową beznogi zieleniarz
Kuśtyka co godzina na kapkę kminkówki.

Ze śliczną swoją wnuczką, która siedzi chmurna,
Doniczki krwawych laków okurzając ścierką,
Ujada się kwiaciarka gruba i czupurna —
Może kiedyś w ułanach była wiwandjerką.

W Rynku rzadziej warszawskie spotyka się ciernie:
Siny mundur żandarmski, rudy łeb kałmycki, —
Alem widział tam jeszcze „Pod słońcem" traktjernię,
Którą w starych „Facecjach" rysował Lewicki.

Świst kosa wygwizduje z piwnicznej izdebki
Walczyka o Trepowie, co dostał po pysku,
Nurkuje w tłumie szewczyk i podrzuca trepki,
By nagle wtór piosence dać przy wodotrysku.

Że kosa i łobuza na uczynku schwyci
Stójkowy jejbohami pysk wykrzywia wilczy,
Lecz na widok munduru moskiewskiej policji
Ptak udaje głupiego i jak ryba milczy.

Wspierając się na lagach, postukując w buty,
Idą drogą do Fary dwaj stateczni siwce;
Jeden jest w granatowej taratatce sutej,
A drugi w malinowej na bok rogatywce.

Pod latarnią księżyca pustoszeją kąty,
I tylko słychać szyldy, które wiatr porusza,
W sercach ludu czerwone zapalają lonty
Przechadza się po Rynku Kilińskiego dusza.

Ilustracje M. Walentynowicza

ARTUR OPPMAN (OR-OT)

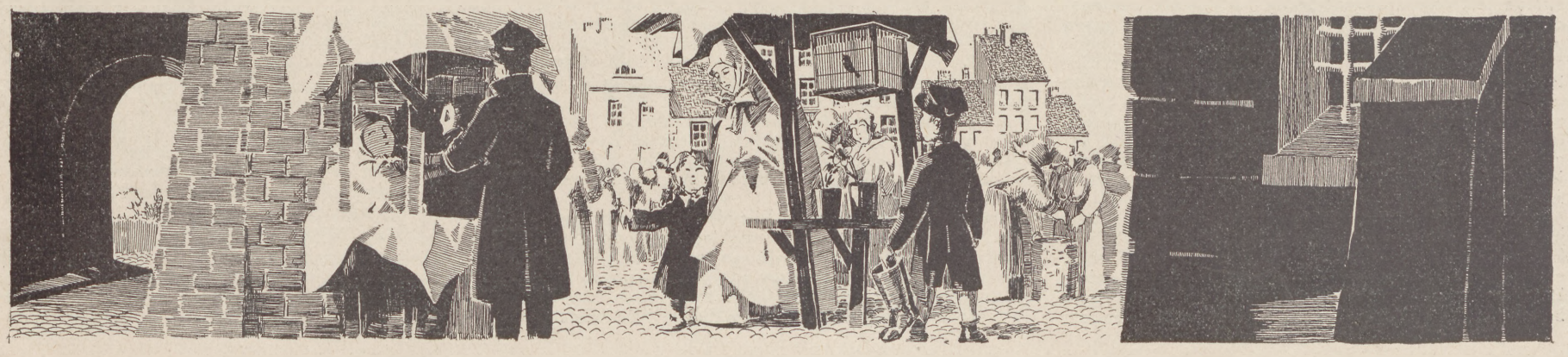

IDEE I ZDARZENIA

NAGRODA LITERACKA WARSZAWY

Przyznano ją w dn. 14 b. m. *Zdzisławowi Dębickiemu* za całokształt działalności pisarskiej. Dorobek literacki nowego laureata obejmuje poezję i prozę, tę ostatnią głównie z zakresu krytyki literackiej.

Nagroda Warszawy jest ponadto pięknym wyrazem uznania dla Dębickiego - publicysty, zawsze czujnie strzegącego wartości etycznych i idei narodowej i społecznej.

NIEMOCARSTWOWOŚĆ MYŚLENIA

Jest, niestety, dużo słuszności w takiej ocenie pewnego zjawiska: „Modnym stał się u nas w ostatnich czasach frazes o „polityce mocarstwowej", modnym do tego stopnia, że „mocarstwowość" wystarcza za program i zwalnia niejako od głębszego ustosunkowania się do zagadnień politycznych. Jest się „mocarstwowcem", walczy się o „Polskę mocarstwową", o „zwycięstwo idei mocarstwowej" — i tyle. Różne czasopisma noszą wyraz „mocarstwowość" w nagłówku, prasa codzienna przy każdej sposobności używa tego określenia. Jednakże abstrahując chwilowo od problemu, czy Polska jest już dzisiaj naprawdę państwem mocarstwowem, stwierdzić wypada, że o ile chodzi o polskie myślenie polityczne, a w szczególności o stosunek opinji publicznej w Polsce do zagadnień polityki międzynarodowej, to są one dalekie, bardzo dalekie od t. zw. mocarstwowości. Nastawienie opinji polskiej wobec spraw zagranicznych nie stoi bynajmniej na poziomie państwa pretendującego do stanowiska wśród mocarstw świata".

Sąd powyższy, zaczerpnięty z wydanej właśnie broszury p. Aleksandra Bregmana p. t. *Opinja polska a sprawy zagraniczne* (odbitka z „Przeglądu Współczesnego) opiera się na całym szeregu spostrzeżeń, nie jest bynajmniej gołosłowny, a choć materjał dowodowy w tej kwestji podany został przez autora w formie bardzo treściwej, przecież aż nadto jaskrawie odsłania pewne dotkliwe bolączki. Uwagi p. Bregmana istotnie stwierdzają „niemocarstwowość myślenia" politycznego w Polsce. Krytycyzm da się posunąć nawet dalej: „W stosunku do takich zagadnień, jak organizacja pokoju, Liga Narodów, Paneuropa, Locarno, jak, z innej nieco dziedziny, sprawa t. zw. odpowiedzialności za wojnę, albo poprostu przyczyn wojny — sądy polskie uderzają tem, że są nieprzemyślane, ale, co gorsza, dziwną zależnością od opinji w innych krajach, i to... głównie w krajach nam nieprzychylnych". A oto przykłady: Liga Narodów. Niemcy zwalczają energicznie przewidziane w art. 11 Paktu Ligi sankcje przeciw ewentualnemu inicjatorowi wojny, zdając sobie sprawę, że daje on w dzisiejszych warunkach maksimum zabezpieczenia przeciw zlokalizowaniu wojny. Wojna między Niemcami a Polską, zgodnie z Paktem, staje się sprawą całej Ligi, a nietylko obu tych państw. Stąd Niemcy sprzeciwiają się rozbudowie sankcyj przeciw wojnie. Stąd też wynikałoby, że powinniśmy stale i usilnie popierać Ligę i oddziaływać w kierunku utrwalenia jej prestiżu; należałoby też w polskim interesie szerzyć zainteresowanie Ligą i na wzór zagranicy zwiększać liczbę członków Stowarzyszenia przyjaciół Ligi Narodów. Otóż czynimy właśnie inaczej. Zwalczamy Ligę Narodów, obniżamy u siebie jej powagę, ironicznie a pośpiesznie zazwyczaj oceniamy jej wysiłki pacyfistyczne i jej ideologję; szerzymy niechęć, podkreślamy jej niepowodzenia. Z takiego ustosunkowania się do Ligi wynikają tego rodzaju *monita* pod adresem Genewy: „Nawet jeśli nie jest kierowany przez wrogą propagandę, pacyfizm rozkłada duchowo społeczeństwa, szerząc obcy naszej wierze i naszej cywilizacji kult życia i użycia jednostek". Albo: „obalenia drugiego (Protokółu gen. z r. 1924, mogącego wzmocnić bezpieczeństwo członków Ligi) było poważną W. Brytanji zasługą". Oba te poglądy wymierzone przeciw Lidze, cytuje autor z książki prof. Winiarskiego „Bezpieczeństwo, arbitraż, rozbrojenie", słusznie dziwiąc się, dlaczego stajemy po stronie wrogów Ligi Narodów, kiedy miejsce nasze powinno być wśród jej przyjaciół, co zresztą jest stałym i wytrwałym wysiłkiem naszej dyplomacji.

Przykład inny: na ostatniej sesji Komisji rozbrojeniowej wypracowano projekt konwencji rozbrojeniowej (przy współudziale Polski), udaremniając przytem niemiecko-sowieckie próby sparaliżowania prac genewskich. „Wyniki sesji Komisji rozbrojeniowej stanowią poważny krok naprzód, nie mówiąc już o ich znaczeniu politycznem, przejawiającem się w wzmocnieniu solidarności francusko - angielskiej. Prasa niemiecka jest rozczarowana, „stara się pomniejszyć znaczenie dokonanego dzieła" i t. d. „Cóż czyni prasa polska? Ślepo powtarza to, co piszą Niemcy. Jedno z pism notuje: „jałowy przebieg prac Komisji przygotowawczej"... inne idzie dalej jeszcze i stwierdza, że „rokowania konferencji... skończyły się fiaskiem"... Co w tych warunkach dla prasy polskiej byłoby sukcesem, trudno naprawdę się domyśleć. Dla Niemców prace genewskie byłyby ukoronowane sukcesem, gdyby rozbrojono tam jak najbardziej Francję i Polskę. Czy i wówczas pisma polskie powtarzałyby sądy niemieckie?"

Obszernie omawia p. Bregman stosunek prasy i opinji polskiej do sprawy Locarna, logicznie i prosto wykazując, jak sami osłabiamy znaczenie tego ważnego, aktu i jak przyczyniamy się do triumfu tezy niemieckiej, że układ locarneński nie gwarantuje nam żadnego bezpieczeństwa i pośrednio jakoby zapewnia Niemcom bezkarność ataku przeciw Polsce. Niemniej trafne są uwagi autora w kwestji rewizji granic — trafne przedewszystkiem dlatego, że występują przeciw panice, której podlegamy zbyt łatwo, gdy idzie o ten problem, trafne i wówczas, gdy wysuwają postulat własnego, oryginalnego przemyślenia tak doniosłych zagadnień jak przyczyny wojny światowej. W sprawie tej, stwierdza p. Bregman, przyjęliśmy, inaczej niż Massaryk i Benesz, bezkrytycznie tezę francuską o mechanicznem wywołaniu wojny przez Niemcy i negującą, przynajmniej oficjalnie, cały olbrzymi splot czynników, nieuchronnie oddawna prowadzących do wojny. „Umysły jasnowidzące zdawały sobie z tego dobrze sprawę. Ostatecznie nie przypadkiem Piłsudski akurat w ostatnich latach przed 1914 zaczął się do wojny energicznie przygotowywać".

Pełna treści praca p. Bregmana nie ogranicza się do tej posępnej diagnozy na temat „niemocarstwowości" i „nieoryginalności" naszego myślenia w sprawach międzynarodowych. Wskazuje środki zaradcze: należy pogłębić zainteresowanie ogółu dla tego typu zagadnień, studjować i dyskutować problemy polityczne, a nadewszystko zreorganizować doszczętnie prasową służbę informacyjną, która doprawdy nie pozostaje w żadnej proporcji do informacji politycznej mniejszych niż nasze „mocarstw"; zdobyć się na własne źródła depesz, artykułów i korespondencyj zamiast posługiwać się źródłami z drugiej ręki i — co jest aż niewiarogodne — robić „telegramy własne" na podstawie komunikatów radjowych agencji Wolffa. Ta część wywodów p. Bregmana zasługuje na szczególniejszą uwagę i warta jest szerszej dyskusji ze strony najbardziej powołanej, tj. prasy codziennej. Niezbędna, nagląca jest „mocarstwowość" przynajmniej na tym odcinku naszego życia.

MIĘDZY PISARZAMI

„Myśl Narodowa" ogłosiła niedawno artykuł Adolfa Nowaczyńskiego, w którym autor „Cara Samozwańca" w sposób bardzo gwałtowny zaatakował Wacława Grubińskiego jako krytyka i artystę, przyczem wśród inwektyw nie zabrakło wyrażeń i zwrotów, które cechują każde polemiczne wystąpienie Nowaczyńskiego. W odpowiedzi na to p. Grubiński wydrukował w tydzień później artykuł w „Świecie", w którym w słowach możliwie najbardziej wykwintnych starał się udowodnić, że p. Nowaczyński nie miał racji i że atak jego nie może się wylegitymować żadnemi przykonywującemi elementami.

Ostatnio do tej polemiki wtrąciło się trzecie pismo. *Echo tygodnia (Nr. 7)*. Przedrukowało ono mianowicie odpowiedź p. Grubińskiego w całości, poczem zaopatrzyło ten artykuł następującym komentarzem: „Artykuł niniejszy ukazał się na łamach Świata jako odprawa dana profesjonalnemu wylizywaczowi własnych inwektyw, temu nieszczęśliwemu Neuwert-Nowaczyńskiemu, z którego wyświechtanem piórem nikt się oddawna nie liczy. Neuwert chrypi, lży, pluje, a czytelnik patrzy z litosnem współczuciem na tę padaczkę pisarską niepoczytalnego psychopaty, zabawnego czasem w spazmach, bredniach i złości".

Jeżeli pisarze tak będą ze sobą polemizować, t. j. tak jak Nowaczyński z Grubińskim i odwrotnie — cóż stanie się z wartością słowa, jako tworzywa piękna i poezji?

ZARDZEWIAŁE PIORUNY

Gdyśmy niedawno występowali przeciwko metodom „Naprzodu", który przymierzał do swego partyjnego łokcia najpiękniejsze fragmenty naszej literatury romantycznej i poszukiwał tam najzupełniej mechanicznych analogij z wypadkami współczesnemi, nie zamierzaliśmy bynajmniej zaprzeczać wielkiego znaczenia twórczego wnikania w arcydzieła naszej literatury pod kątem naszej współczesności. Przeciwnie, konfrontowanie wielkiej poezji przeszłości z naszą teraźniejszością, doszukiwanie się w tej poezji prawd, któreby mogły oświecać drogę naszego pokolenia, to najważniejsze niewątpliwie zadanie krytyki twórczej, a zarazem nie zrywającej bezpośredniego kontaktu z życiem i jego wiecznie młodą problematyką.

Do najpiękniejszych niewątpliwie przykładów takiej krytyki twórczej, krytyki, która tyleż jest analizą literacką, co politycznem wyznaniem wiary, należy niewątpliwie wspaniały artykuł *Wincentego Rzymowskiego* p. t. *Zardzewiałe pioruny (Gazeta Polska, Nr. 97)*. Jest to jednostronna może, ale wspaniała synteza polskiej poezji romantycznej jako pomnika niewoli, którego spiż odgrywał olbrzymią rolę w dniach politycznej klęski, ale który zardzewiał i stał się niemy w latach twórczej pracy nad budowaniem państwowości.

„Aby żyć w karykaturalnych warunkach niewoli, — pisze Rzymowski — naród polski przez całe stulecie uciekał od rzeczywistości i szukał schronienia w fantazji, w literaturze, w poezji".

„Poezja nasza, nawet wtenczas, gdy szarpała i rozrywała rany, dążyła do wywołania cierpień dywersyjnych, których cel polegał na tem, aby móc oczy przymknąć na to, co w doli narodu było najstraszniejsze a nieodparte.

Nie wszyscy pojęli myśl Piłsudskiego, kiedy postanowił sprowadzić zwłoki Słowackiego do kraju.

Gdy składał trumnę wielkiego poety w grobowcu umarłych królów, nie wszyscy zdali sobie sprawę z tego, że tym uroczystym i symbolicznym aktem zamykał on stuletni, wielki okres naszego ducha, i że wielkość tego okresu uwydatniał on właśnie dzięki temu, że go widział i ukazał zamkniętym.

Słowacki był piewcą tych męczeńskich nimbów, które okalają głowę pokonanych, aby zaświadczyć i wróżyć, że bój nie jest jeszcze skończony; że zwycięstwo prawdziwe będzie „za błękitami". Pokazał on tragiczną grozę pogromów, jakim ulegają narody. Pokazał dumę, jaką wydobyć ze siebie potrafi nawet jeniec, nawet niewolnik, i uczył, że duma ta stać się może siłą, kruszącą kajdany. Ta poezja dumy, dźwigająca się z pobojowisk klęski, miała w sobie, niewątpliwie, wspaniałą moc ożywczą i odnowicielską. Zapobiegła temu, aby naród, runąwszy w proch, uczuł się prochem.

Ale biada człowiekowi, któryby, zasłuchawszy się w brzęk własnych kajdan, utożsamił cierpienie, jakiem poi klęska, z najszczytniejszą formą woli i samowiedzy i w formie tej się rozkochał.

Widząc Słowacki, naród swój powalony w niemocy i złamany klęską, znienawidził zwycięzców, uczcił pogrom i niedolę tam nawet, gdzie one na cześć nie zasługują. Podjął na swe skrzydła archanielskie i ku niebiosom wyniósł takie nawet czoła, które padły w walce z najistotniejszemi walorami państwa, narodu i cywilizacji.

Widzimy to w poemacie, który stanowi jedną z ostatnich i najbardziej syntetycznych pieśni Słowackiego: w „Samuelu Zborowskim".

Podejmując spór Zborowskiego z królem i kanclerzem, nasza najszczytniejsza poezja staje po stronie zbuntowanego magnata przeciw idei trudu i samoopanowania, w jakiem budował Polskę genjusz państwowości. Dlaczego?

Oczywiście dlatego, że dziedzicami królów i kanclerzy byli królowie, cesarze i kanclerze. A królów i kanclerzy widziała Polska porozbiorowa tylko w obozie swych ujarzmicieli. Polacy byli buntownikami, byli spiskowcami.

Otóż, wygnańcy na bruku paryskim, lub zesłańcy w kopalniach Nerczyńska, mocą logiki czysto uczuciowej, opartej na skojarzeniu obrazów i symbolów, wydawać się musieli stokroć bliżsi losu — pojmanego i skazanego na ścięcie przez topór władzy — buntownika, niż władczej myśli Zamoyskich i Batorych, występującej w całym przepychu mocarstwowej potęgi.

Owa to logika uczuć sprawiła, że w poemacie Słowackiego, jak pisze Kleiner, „Zamoyski reprezentuje prawo państwowe, bezwzględne, skostniałe, wstrzymujące rozwój — Zborowski prawo wielkiego ducha do wolności".

Naród, który stał się w swych najlepszych synach narodem emigrantów i banitów, patrona swego i wyobraziciela ujrzał w buntowniku i banicie. „Przemiana wartości — dodaje Kleiner — dokonana została z konsekwencją przerażającą. Świętość Polski uczyniła świętością anarchji, choć prawo anarchji przyznawała tylko świętym".

Śledząc przemianę tego samego motywu, pisze zkolei Rzymowski o „Dumie o Hetmanie" Żeromskiego, spostrzegając zupełnie podobne przeżywanie momentów dawnej historji Polski. Zborowski bowiem staje się dla polskiej poezji w niewoli niejako symboliczną postacią, gdyż „ten więzień i banita zdawał się bratem Kordjana, towarzyszem Irydjona, a zwiastunem Konrada". Bowiem i Mickiewicz, autor „Reduty Ordona" i „Trzeciej części Dziadów" nie pole bitwy pod Grochowem czynił terenem zmagania się uczuć narodowych z wrogiem, ale celę Konrada w klasztorze O. O. Bazyljanów, w której „umierała dusza polskiego żołnierza, rodziła się dusza polskiej martyrologji".

Poetą naszych dni, poetą naszego życia jest Wyspiański. Konrad z „Dziadów" ustępuje miejsca Konradowi z „Wyzwolenia". I z tym drugim Konradem łączy Rzymowski ideologję współczesnej Polski, ideologję Piłsudskiego, kiedy pisze:

„Gdy w lat 75 po ekstazach Konrada z „Dziadów" powstaje Piłsudski — Konrad „Wyzwolenia" — aby naród swój sprowadzić z podobłocznej fałszywej Golgoty na twardy, ale realny padół czynu; gdy odrzuci diamentowe, fantastyczne zbroje i ubierze strzelców swoich w szary mundur żołnierski, mieć będzie przeciw sobie nietylko bagnety wroga, ale i zardzewiałe pioruny narodowego Olimpu polskiej romantyki".

„Co jeden zapowiedział i podjął, wołając „Poezjo precz! Jesteś tyranem!" — to drugi spełnił, improwizując już nie pieśń, ale czyn wyzwolenia.

Obaj zaś — pierwsi w ujarzmionym narodzie: poeta i wódz — przed laty bez mała trzydziestu zrozumieli, że wyzwolenie Polski zacząć się musi od wyzwolenia z masek romantycznych, osłaniających „grobowce, trumny, cmentarze... zgniliznę, próchna i trumny".

Obaj podnieśli hasło nie ofiary całopalnej, ale zwycięstwa. „Krzyż przeklnę — pisze Wyspiański — Chrystusa godło — gdy męką naród uwiodło. — Dla mnie żywota prawo!"... „Zwycięstwo niosę... z woli żywej i żywej potęgi; nie to, które wyrzeka się ciała i krwi, mocne się być zapowiada anielskiemi skrzydły, a jego oblicze trupiego wdzięku tchnie mrokiem zabójczym".

To też, gdy w trzecim akcie „Wyzwolenia" czytamy dzisiaj słynny, niezapomniany monolog:

...Nie uwiedzie mnie szept wiślany...
nie zwiedzie poszept oczeretów,
trzcin chwiejnych, łóz, szuwarów:
czyjajekolwiek dłoń skuje
w rózgi liktorskie Cezarów
sługa jarzma nie czuje!!!

Któż nie odgadnie, o jakich tu mowa trzcinach chwiejnych, i o jakich uwodnych pokusach?

Genjalny Poeta pisał w dramacie swym rolę dla nieubłaganego Wodza".

BOY-ŻELEŃSKI

ARJEL I KALIBAN

Niech to nikogo nie dziwi, że Arjel na rycinie jest masywny i tłusty, a Kaliban długi i cienki. Natura miewa takie kaprysy. Ale tutaj kaprys jej ma znaczenie poniekąd symboliczne. W walce, jaką w podwawelskim grodzie [1]) Arjel sztuki stoczył z Kalibanem, siłą przeciwnika była właśnie ta nikłość, która się umykała wszelkiemu natarciu. Przygięty wichrem jak trzcina, kalibanek prostował się znowu.

Jan Stanisławski (rys. St. Wyspiańskiego)

I niech też nikogo nie dziwi, że dawnym krakowskim rzeczom poświęcam tyle miejsca; niech nikt nie pomawia tych spraw o „regionalizm". Toż to była — od czasu starcia romantyków z klasykami warszawskimi — pierwsza bodaj w wielkim stylu *sprawa o sztukę*, to było pierwsze bodaj *środowisko artystyczne* jakieśmy mieli.

Bo i jak mogliśmy je mieć przy naszem rozbiciu, rozprószeniu, przy naszych troskach? Wszak przez tyle lat duch polski nawykł koczować zagranicą! Gdyby ułożyć listę naszej emigracji — musowej i dobrowolnej — zajęłaby ta lista wiele, wiele stronic. Nie było naturalnej osmozy sztuki. Pomiędzy szczytami — jakimś Norwidem czy Chopinem — a kulturą kraju była przepaść. Przy ciągłych upustach krwi, wstrząsach i żałobach, zakazach i nakazach, czyż mogło być na serjo miejsce na te sprawy?

Dlatego czemś osobliwem w naszem życiu było to dziesięcio czy piętnastolecie Krakowa, w którem, naprzekór wszelkim niedostatkom materjalnym i fizycznym miasta, rozwinęło się życie artystyczne tak pełno, jak nigdy wprzód u nas i nigdzie. Płodne spotkanie się tylu niezwykłych jednostek; współczesność rozkwitu teatru, malarstwa, poezji, sztuki dekoracyjnej, walka o nową myśl i nową formę; — okres ów, poza tem co dał bezpośrednio, wytworzył tyle energji potencjalnej, że można powiedzieć, iż bardzo znaczna część tego, co się dziś w Polsce w zakresie sztuki dzieje, ma źródło w ówczesnym Krakowie. To chyba starczy, aby się warto było nim zajmować?

Na kilka lat przed tym krakowskim renesansem, pojawiła się w Warszawie książka, która narobiła dużo hałasu. Była to Stanisława Witkiewicza *Sztuka i krytyka u nas*. Mówiła o rzeczy mającej ścisły związek z brakiem atmosfery artystycznej, o niedomaganiach naszej krytyki. Chodziło tam głównie o malarstwo, ale i wogóle o to, aby sztukę sądzić kryterjami sztuki. Nie było to łatwe żądanie, bo gdzież miały się wytwarzać te kryterja? Malarstwo nasze rozwijało się przeważnie za granicą; krajowa „krytyka", to było aż nazbyt często ględzenie miernot o miernotach. Poczciwość intencyj, obywatelska myśl, dostojeństwo tematu, szacunek dla starszych, praca, nieskazitelne życie, to były miary służące dla oceny obrazu. I tak było potrosze we wszystkiem; zanieczyszczenie pojęć sztuki najciaśniej stosowanemi kategorjami pożytku społecznego, istniało we wszystkich działach. Straszliwie było potrzeba miotły; owo „oczyścić dom, dzieci!" księdza Robaka było bodaj że najpilniejszem zadaniem. I to spełniło się poniekąd w Krakowie.

Działał w tym duchu teatr, który, wprowadzając raz po raz dzieła współczesnej europejskiej myśli, odkażał powietrze z mikrobów zaścianka. Działał najsilniej Przybyszewski, jednostronnie, zapewne, i często niesprawiedliwie, ale jakże twórczo, podniecająco, podnosząc temperaturę, ogarniając jednym spazmem myśli poezję, malarstwo, rzeźbę, architekturę, muzykę, historję! I wciąż istotą tego apostolstwa mającego dwa oblicza — uwielbienie i szyderstwo — było rozróżnienie tego co jest Sztuką a co ją świętokradczo udaje. Pod tym względem wszystkie te, tak różne indywidualności sprawujące sądy Minosa w krakowskim „Paonie", były zgodne: to samo wyrażało ironiczne brząknięcie Wyspiańskiego, i sławne „hehe" Przybysza, i wymowne milczenia Pawlikowskiego i groźne nieartykułowane pomruki Stanisławskiego. Interpretowanie zasady mogło, oczywiście, nie być wolne od uprzedzeń i omyłek, ale sama zasada, postawiona u nas bodaj po raz pierwszy, miała wielkie znaczenie. Pierwszy raz akcentuje się tak dobitnie pojęcie wspólności Sztuki i potrzeba selekcji.

Zasada selekcji najrealniej wyrażała się w dziedzinie malarstwa; jakoż powstające w owym czasie stowarzyszenie *Sztuka* już samą nazwą wskazuje, że celem jego jest ów rozdział na to co jest sztuką a co nią nie jest. Nie było to zadanie łatwe; wymagało autorytetu, pewnej bezwzględności, nawet despotyzmu. Tego zbawiennego tyrana znalazła *Sztuka* w Janie Stanisławskim; a choć z natury rzeczy akcja ta budziła niejeden sprzeciw, w sumie jednak miała swoje wielkie znaczenie, i wewnątrz i — jeszcze bardziej — na zewnątrz. Pierwsze wystawy *Sztuki* za granicą były tryumfem. Przedtem istnieli dla Europy polscy malarze (często pod obcą flagą), odtąd istnieje polskie malarstwo.

Lekcja Stanisławskiego (rys. S. Rzeckiego w „Liberum veto")

Jana Stanisławskiego warto przypomnieć, bo twórczość jego malarska — mimo że niepospolita — nie wyczerpuje tej bogatej natury. Jego wpływ osobisty w ciągu owego dziesięciolecia, jego działalność organizatorska, jego „żywa krytyka" — i to nietylko malarska — wszystko to zajmowało wiele miejsca w ówczesnem życiu artystycznem Krakowa. Dziś jeszcze, po dwudziestu kilku latach, tym co go blisko znali zdarza się w różnych sytuacjach naśladować żartem coby on powiedział, jego głosem, jego stylem. Słyszy się jeszcze te długie pomruki, z których strzela nagle jakaś rozkosznie celna i lotna definicja.

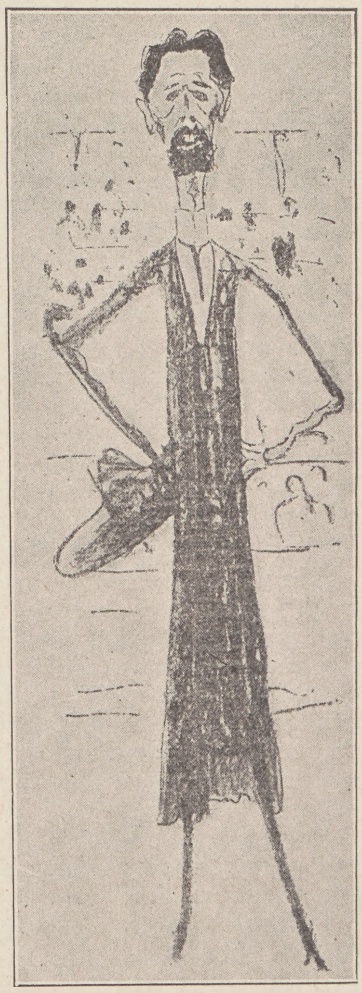

„Mały" Prokesch (rys. L. Wyczółkowskiego w „Liberum veto")

Gdyby nie ukraińska mgła zadumy w jasno niebieskich oczach, możnaby o Stanisławskim powiedzieć: figura rabelesowska. Ten olbrzym, gruby jak piec, był podobny do Pantagruela z ilustracyj Dore'go. Był synem profesora, tłumacza Boskiej Komedji; studjował matematykę, z której przeszedł do malarstwa, zawadziwszy o dom obłąkanych, podobno wskutek nieszczęśliwej miłości do pianistki Antoniny S. Opowiadał raz, że spotkał tam warjata, który mu mówił zdumiewające rzeczy o kolorach. Kiedy uzbierał jakie 100 rubli, jechał do Paryża i żył tam póki mógł. Malował maleńkie obrazki—małe cudowności — stanowiące wymiarem swym zabawny kontrast z jego olbrzymią postacią, ale właśnie podobno tusza jego była przyczyną ich maleńkości: przy większym obrazie zanadto go męczył konieczny ruch ciągłego zbliżania się i oddalania. Ten brzuch o niesłychanej pojemności był stale niedopełniony. Sądzę, że kiedy go zamianowano profesorem Akademji, pierwszą jego radością było, że mógł się najeść do syta. Opowiadał, jak oprowadzając po Paryżu Zapolską, bez grosza w kieszeni i zmuszony udawać że mu się nie chce jeść, patrzał z nienawiścią na nią, wsuwającą befsztyk. „Jak ja jej nienawidziłem w tej chwili!" powiadał. Maciupeńkie pejzaże, które przywoził z Ukrainy, zaczęły zwracać na niego w Paryżu uwagę. Nie mając pieniędzy na ramy, przyczepił kilkanaście tych obrazków do wielkiego płótna i posłał je na Salon; zainteresowały członków *jury* tak, że sami złożyli się na ramy. Wówczas to Fałat, reorganizując Szkołę, powołał go do Krakowa; niebawem Stanisławski stał się duszą Akademji Sztuk pięknych.

Rabelesowska była w tym człowieku

[1]) Por. „Tyg. Illustr." N-ry od 9 do 15.

i pojemność duchowa. Rzadko spotyka się człowieka tak niezmęczonego w chłonięciu wrażeń. Nie opuścił ani jednej premiery, ani jednego koncertu, znał całą literaturę, pił muzykę wszystkiemi zmysłami. Ten kresowiec-paryżanin czuł się równie swojo w mrokach duszy rosyjskiej co w wyrafinowaniach kultury francuskiej. Miał pasję nauczycielską, masę czasu poświęcał uczniom; przytem był żarłok i smakosz, potrafił zjeść półmisek kołdunów, zagrać dwadzieścia robrów winta, a gawędziarz był taki, że z odprowadzającym go do domu zagadywał się pod bramą do rana. Dowcip smakował i cenił jak mało kto; określenia jego krążyły z ust do ust; były tą „żywą krytyką" kształtującą opinję. Organizator o niespożytej energji stał się również duszą *Sztuki*; woził jej wystawy zagranicę, znajdował wszędzie posłuch i sympatję, dnie i noce męczył się przy urządzaniu sali, i cieszył się tryumfem tych, których wysuwał na pierwszy plan, najmniej myśląc o sobie. A kiedy mówił o wielkiej sztuce, o swoich uwielbianych mistrzach, oczy jego nabierały wyrazu jakby ekstatycznego rozmodlenia. I ta mgiełka mistyczna — mistyka matematyków — to źdźbło obłędu przytajone w oczach, dodawały szczególnej zaprawy tej jasnej i przenikliwej inteligencji.

Obcowanie z nim — a umiał być czarujący! — zawsze budziło pewien niepokój. Podrażniony, miewał wybuchy furji, których się bano; zdawało się że może zabić człowieka. To też przydawało mu autorytetu: przy jego wzroście i sile, któżby się takiemu sprzeciwił! Kiedy mu ktoś zarzucał, że jest niesprawiedliwy, wybuchał: „Noo... dlaczego ja mam być sprawiedliwy? Pan Bóg jest sprawiedliwy". Mimo to, nie sądzę, aby w kryterjach malarskich popełniał wiele niesprawiedliwości.

Po którejś wystawie Jacka Malczewskiego (z jego najbardziej „symbolicznego" okresu), Stanisławski długo kręcił brodę, międlił coś w ustach, w końcu mruknął: „No pięknie, bardzo pięknie, no ale na przyszły raz będzie żaba w kwaśnem mleku, no i zbawienie Polski". Ktoś musiał powtórzyć to Jackowi, bo kiedy na przyszły rok wystawił nowy obraz, była na nim, obok postaci samego Jacka, wielka dzieża z kwaśnem mlekiem, z której wychodzi żaba; podpis „Zatruta studnia". Bo Jacuś Malczewski, mimo tercjarskiego habitu św. Franciszka, w którym się kazał pochować, był wielki zcichapęk i figlarz.

Stanisławski uwielbiał Chełmońskiego, jego jednego może bez zastrzeżeń. Zabawny był jego stosunek do Wyspiańskiego, złożony z admiracji, czułości i jakiejś przyjaznej złośliwości, odwzajemnianej zresztą. W jednej ze swoich „butad" — było to jeszcze przed *Weselem* — dawał taką charakterystykę Wyspiańskiego: „No, wyobraźmy sobie, że Polska umarła; że naprawdę umarła, i że jest jej pogrzeb. Słowackiemu, gdyby był na pogrzebie, pękłoby serce, i wylałaby się krew czerwona. Wyspiański najpierwby wszystko ustawił, wyreżyserował, poprawił, to tu, to tak; potem pękłoby mu też serce, i wylałaby się krew — seledynowa". Kiedy już przekonał się do Wyspiańskiego zupełnie, cierpiał nad tem, że Chełmoński go nie uznaje: pasją jego było zbliżać tych których kochał. Wreszcie nawrócił Chełmońskiego witrażem Kazimierza Wielkiego, przed którym Chełmoński stanął w osłupieniu. Korzystając z tego, Stanisławski z radością zaprosił obu do siebie. Chełmoński, ze swoją wylaną naturą, podszedł ku Wyspiańskiemu z otwartemi ramionami i ze słowami podziwu. Ale Wyspiański, który wiedział o jego dawniejszej niechęci a był bardzo rogaty i pamiętliwy, zapiął charakterystycznym ruchem swój wieczny czarny tużurek, w odpowiedzi na wylewy brząknął tylko: „Cieszę się, że znalazłem uznanie w pańskich oczach" i odsunął się. Stanisławski oniemiał; nie wiadomo było chwilę czy wybuchnie czy się rozpłacze; wreszcie odszedł w kąt i jęknął: „Noo, g...arz z żółtą brodą!" Nikt chyba dla Wyspiańskiego nie znalazł równie oryginalnego określenia; a był w tem i żal i czułość i nawet uznanie.

Tak, ten ciężki kształtem a lotny myślą i miłością brzuchacz był prawdziwym Arielem radosnej wiedzy o sztuce. Budził naturalny postrach w kalibanie, którym był krytyk *Nowej Reformy*, Władysław Prokesch. Nicość Prokescha miała coś apokaliptycznego; to był na swój sposób fenomen. Przez trzydzieści lat z górą był sprawozdawcą literackim, teatralnym, malarskim i muzycznym. Gdyby zebrać razem — szalona myśl!—

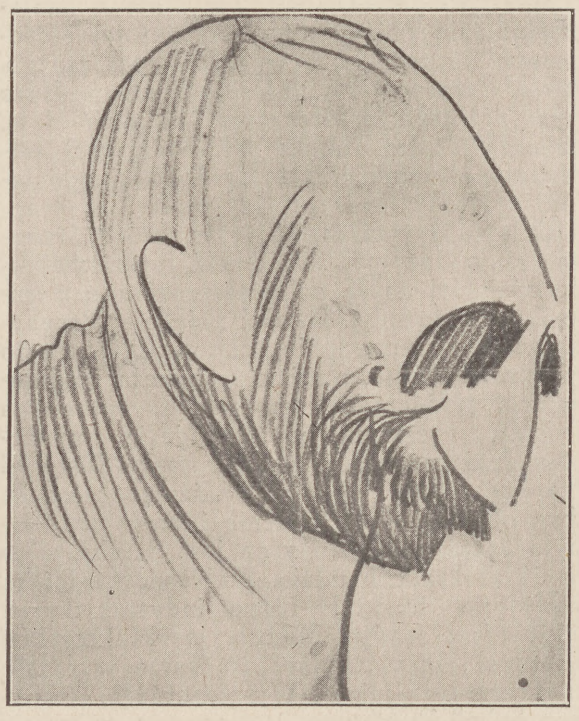

Feliks Jasieński, zwany „Manggha"

wszystko co napisał, złożyłaby się cała bibljoteka. Pomagała mu w tej pracy absolutna ignorancja. Bąki, które strzelał, były stałą radością artystów. W recenzji z *Mandragory* potrafił pisać: „p. Machiavel", w przekonaniu, że krytykuje współczesnego autora. Wyrobił sobie specjalny słownik frazesów, które nie znaczyły nic, a których można było użyć do wszystkiego, jak naprzykład: „uwypuklić nieprzeciętne walory owiane sentymentem", i t. p. Wynalazł sposób „asekurowania się", polegający na tem, że jedna połowa zdania przeczyła drugiej. Ten krytyk piszący parę dziesiątków lat w dużem piśmie liberalno-postępowym wciąż zwalczał wszelką „modernę" a chwalił zbożne tendencje. Chwalił Rostanda [1]), że „otworzył szarą przędzą pleśni oddawna zasnute okno i wpuścił przez nie powiew świeżych prądów po stęchliźnie szpitalnej jaką daje literatura modernistyczna"; chwalił Bełcikowskiego „swojski obrazek życia narodowego skreślony ręką zamiłowaną w przeszłości a piszącą sercem" etc. Z formułek jego ułożył Nowaczyński *Vademecum* dla krytyków, pod tytułem „Mały Prokesch". Najzabawniejsze bąki strzelał w muzyce, której terminy najwięcej mają ścisłości; nie da się np. słowa „chromatyczny" i t. p. używać po omacku. Fachowi muzycy robili sobie zabawę, przysiadając się na koncercie do Prokescha i podsuwając mu brednie, które na drugi dzień czytali w jego recenzji.

[1]) Cytaty te przepisuję dosłownie z książki Kotarbińskiego *W służbie poezji i sztuki*, gdzie przytoczone są zupełnie poważnie... Kochany Józefek!

Przez czas działań Stanisławskiego Prokesch przycupnął nieco. Ale oto rzecz godna uwagi, niemal symboliczna. Grubas Stanisławski umarł bezdzietnie; cienki jak tyczka Prokesch miał ośmioro dzieci. I to chuchro, które — zdawałoby się — wiatr przewróci, przetrwało wszystkich; Witkiewicza, Stanisławskiego, Pawlikowskiego, Wyspiańskiego, wszystkich. Doczekał się swojej apoteozy, swego jubileuszu (te nieopisane krakowskie jubileusze!). I ci sami malarze, którzy dwadzieścia lat wprzódy kwalifikowali jego działalność w słowach najbardziej... malowniczych, teraz, sami doszedłszy fazy, w której budzi się potrzeba wzajemnej wyrozumiałości i pobłażania, zaczęli rozumieć praktyczność i wygodę instytucji-Prokescha. I urządzili mu jubileusz i wprowadzili go pod ręce i mieli do niego mowy. Tylko *enfant terrible* ówczesnego Krakowa, Feliks Jasieński, zamącił tę uroczystość feljetonem, w którym zestawił najsławniejsze bąki Prokescha, między innemi ową sławną recenzję z *Wesela* [1]), gdzie krytyk wykładał myśl utworu jako zachętę dla inteligencji aby zbliżała się do ludu, a „choć nie brak przy tem małych dysonansów, całość kończy się pogodnie wesołym oberkiem".—„Nie miałbym ostatecznie nic przeciw tej koncepcji — dworował sobie Jasieński; jedno mnie tylko niepokoi, mianowicie, że p. Prokesch był równocześnie krytykiem muzycznym".

W owej chwili, Kraków, pod znakiem wojen a zwłaszcza aprowizacji, znów miał co innego na głowie i nie przywiązywał znaczenia do takich sporów. Ale walka między Arjelem a Kalibanem jest wieczna...

[1]) Egzemplarz *Nowej Reformy* z ową słynną recenzją zniknął tak doszczętnie, że niema go podobno nawet w Bibljotece Jagiellońskiej.

STROFY MIŁOSNE

SAMOTNOŚĆ

W tych ścianach niema wspomnień i milczą te ściany,
ten dzień też nie miał wrażeń. Czy jest dzień milczący?!
Wiem, że był list w tęsknocie, pośpiesznie pisany,
z ścian wiał chłód, cicho było — lecz list był gorący.

I był wiersz. Jeden tylko. Miał przyśpieszyć w rymach
czas, miał mnie unieść w natchnieniach przelotnych
tam, gdzie błyskiem minuta, sekundą godzina
a powiedział poprostu, że jestem samotny

DEPESZA

Niezgrabne, blade litery tańczą na wąskiem pasemku,
związane kluczem magicznym wołają z papieru głośno.
Och, jedno straszliwe zdanie czytam z rozpaczą pociemku
i beznadziejność na piersi upada grozą nieznośną —

Wołają do mnie zdaleka zygzaki ostatnich pytań,
krzyczą największą obawą, bólem nadludzkich udręczeń —
Jak ja to dobrze rozumiem: gdy okręt tonie, kapitan
idzie z nim razem w topiele z rękoma na mostku poręczy.

Nie będziesz, pudło rozbite, w mrokach głębiny, samotne,
ja kocham bardzo mój okręt i razem z nim pójdę na dno,
choć zamiast kwiatów, na drogę ostatnią i bezpowrotną
słowa tej smutnej depeszy pieszczotą rozpaczy upadną.

MOJA GWIAZDA

Zabłądziłem w włóczędze pośród gwiazd i planet,
jestem sam w nieznajomej, milczącej przestrzeni —
Teraz chyba na zawsze, niepewny, zostanę
w wielkim szlaku, co wiedzie przez słońca — do ziemi.

Niema gwiazd, niema planet nad błękitną strzechą,
odnalazłem, niechcący, samotności przystań,
tylko zdąża od ziemi w szaleńczym pośpiechu
mojej wielkiej miłości kometa złocista.

BRONISŁAW STEFANOWSKI

JUGOSŁAWJA

(W przededniu Kongresu stowarzyszeń polsko-jugosłowiańskich)

Przed paru miesiącami dzienniki chorwackie pełne były entuzjastycznych opisów przyjęcia, jakie zgotowano w Zagrzebiu królowi Aleksandrowi. Był to moment uspokojenia i pojednania po długich dniach zamętu i niepokoju... W wyniku wszechświatowej wojny, Jugosławja odzyskała nietylko niepodległość, ale i zjednoczenie niemal wszystkich ziem przez pokrewne sobie plemiona zamieszkałych.

Tak niedawno jeszcze wydawało się to niedościgłem marzeniem. Jeszcze w drugiej połowie XIX wieku poeta chorwacki Ludewit Gay zakładając pismo p. n. „Horwatskie Nowiny" z dodatkiem „Denica słoweńsko-dalmacka", podniósł w niem sztandar duchowego połączenia, zlania się w jedno łożysko wszystkich strumieni uczuć i myśli przepływających ziemie południowosłowiańskie. I nadał temu idealnemu państwu dusz, nazwę Illyrji. Stąd w literaturze powstał nowy kierunek p. n. Illyryzmu. Państwa zaborcze były jednak tak silne, że nie zarysował się jeszcze kształt własnej państwowości.

I oto z oparów krwawej wojny wyłoniła się niemal taka Jugosławja jaka powstała w wyobraźni poetów. Obejmuje ona: Serbję, Chorwację, Krainę, Istrję, Gorycję, Slawonję, Dalmację, Bośnię i Hercegowinę z Czarnogórą. Czy jednak odrazu przyszło owo wymarzone duchowe zjednoczenie?

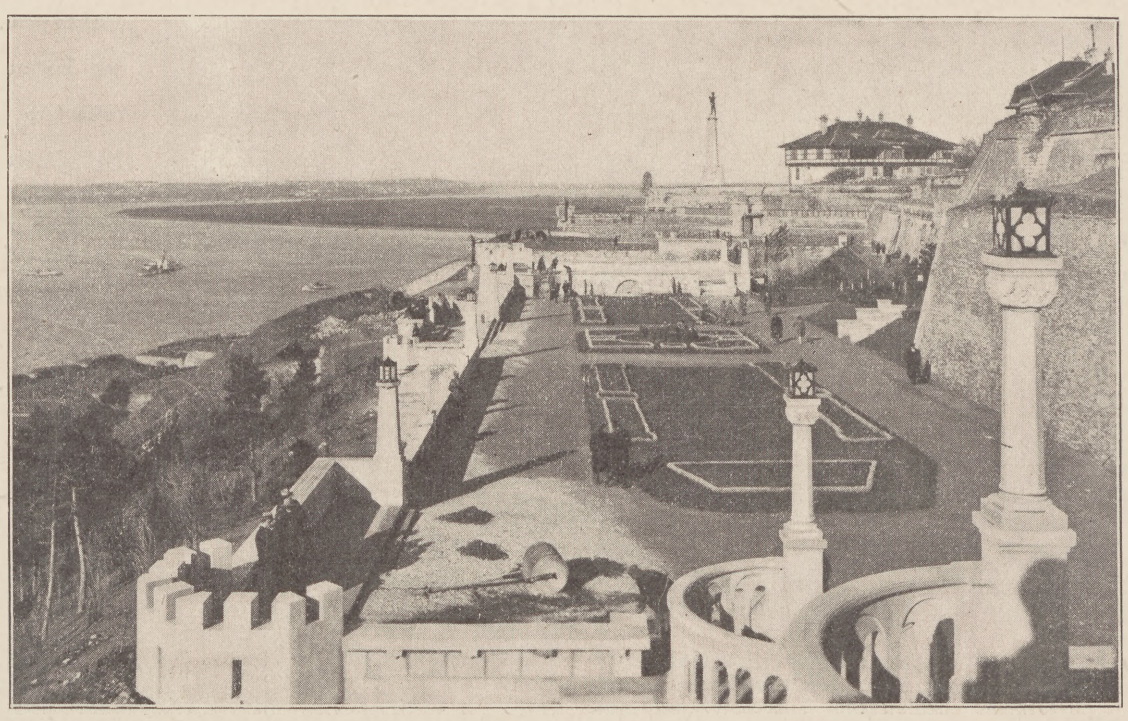

Białogród. Malowniczy widok na Sawę i Dunaj

*

Gdy przed samym niemal wybuchem wielkiej wojny przebywałam czas dłuższy w Jugosławji, ziemia i ludzie zdawali się tam oddychać nadzieją wyzwolenia. A jest to kraj tak cudny, że zda się przyroda przeznaczyła go do szczęścia i radości. Błękitny Adrjatyk oblewa go z jednej strony, z drugiej ciągnie się pasmo Alp Karawanków. Powiew płynący od morza i od śnieżnych szczytów górskich, łagodzi południowe upały, tworząc atmosferę dziwnie słodką i łagodną. Gdy dodamy do tego jeszcze miodopłynny zapach idący od bujnej roślinności, urok, ciągle pod wpływem promieni słonecznych, zmieniających się krajobrazów, w każdej okolicy kraju inaczej ukształtowanych, zdawać się może, że życie rozwijać się tu winno pogodnie bez żywszych kataklizmów.

Amfiteatr rzymski w Solinie

A jednak dzisiejsza zjednoczona Jugosławja to teren odwiecznych walk zaborczych, to teatr jednego z najbardziej powikłanych dramatów ludzkich. Szczep jeden, język z małemi odmianami wspólny, charakter urobiony na ogólnem tle starego słowiańskiego obyczaju, a narzucane w ciągu wieków obce wpływy, wprowadziły tam różnorodne fermenty niepokoju. Różnice religijne od katolicyzmu i prawosławia, aż do mahometanizmu, odrębności psychiczne zależnie od położenia geograficznego na wschód czy na zachód wysuniętego, wreszcie powstałe, z tych samych względów, różnice kulturalne.

Stanęło to wszystko pomiędzy marzeniem a rzeczywistością.

Wynikły gwałtowne spory pomiędzy Serbami a Chorwatami; mury tak upragnionego własnego parlamentu w konstytucyjnem państwie splamiły się krwią, trzeba było zbyt szybko rozpędzone koło życia zatrzymać w biegu. Powoli przychodzi uspokojenie wraz z zaniechaniem poprzedniej centralizacji.

Przypatrzmy się bliżej cennym wartościom cywilizacyjnym, jakie posiada każda z dzielnic wyzwolonej obecnie Jugosławji.

Zacznijmy od najmniejszej bodaj jednostki w zjednoczonem państwie jaką jest Kraina o miljonie zgórą ludności. To jakby samodzielnie ukonstytuowana rzeczpospolita spółdzielcza, może jedyna w Europie o tak wybitnie, w tym kierunku określonym charakterze. O stolicy tego kraju śpiewa ludowa piosenka:

„Ta Lublana, ukochana
Stoi sobie wśród doliny
Jak wieś długa.
Środkiem modra Sawa płynie
A jej brzega wraz dobiega
Lasów smuga".

Wśród tego malowniczego miasta-ogrodu, bieleją mury wspaniałych gmachów użyteczności publicznej. Oto „Ljudska Posolnica" (Bank ludowy), „Gospodarska Zweza" (Związek rolników), „Zadrużna Zweza" (Związek Stowarzyszeń) i wiele innych. Góruje nad niemi gmach pięciopiętrowy, wzniesiony przez pismo „Słoweniec", organ partji katolicko-ludowej.

Widocznie cała ludność wciągnięta jest do akcji i drogą drobnych oszczędności stwarza instytucje społeczne dużego znaczenia, przez przywódców ruchu umiejętnie prowadzone.

Uderzyły mnie też tam formy b. oryginalnie prowadzonej pracy oświatowej. Inicjatorem w tym kierunku był niedawno zmarły ks. dr. Krek. Kursy i wykłady odbywały się przeważnie w górach, wśród pięknej słoweńskiej przyrody, jak niegdyś w Grecji, pod gołem niebem. Zapytany o program, wykładowca odpowiedział: „stwórzcie ludzi nie program, ludzi czynu, odważnych a rozważnych, nie lękających się ani gromu, ani burzy, ani niepowodzeń, nie mających fałszywej próżności, ani miłości własnej, organizatorów i agitatorów. Owóż ci ludzie z życia wzięci i znający życie sami sobie stworzą program".

Dodać należy, że w odrodzeniu się Krainy kiełkuje też nasze polskie ziarnko. Stanowiąca niegdyś niepodległą jednostkę w X wieku utraciła swoją niezależność. Po zmiennych a tragicznych losu kolejach, została wcielona do monarchji habsburskiej i powoli ten kraj drobno-rolniczy ulegał zupełnemu wynarodowieniu. Losy jednak wyrzuciły na jego brzegi rozbitka polskiego Korytkę, uczestnika powstania listopadowego. Ten wraz z księdzem Wodnikiem, u którego zamieszkał, zaczął zbierać słowiańsko-serbskie pieśni ludowe kry-

Scena uliczna w mieście bośniackiem

Piękna panorama Zagrzebia: rojowisko białych, lśniących dachów, poprzecinanych pasami zieleni

jące się po chatach chłopskich. Pierwszy ich zbiór wyszedł w Lublanie i stał się hasłem odrodzenia narodowego, początkiem późniejszego, wszechstronnego rozwoju.

Kraina najbliższe stosunki utrzymywała z Chorwacją, chociaż charakterystyczne cechy ludności są odmienne. Silnie oddziaływujące tu wpływy włoskie, jakkolwiek się od nich wytrwale broniono, kładły swoiste piętno na charakterze narodowym. Bliskie sąsiedztwo Królowej Mórz Wenecji, z jej wspaniałym rozkwitem sztuki plastycznej, czyniło z Zagrzebia placówkę stojącą na pograniczu świata latyńskiego i słowiańskiego. Że ten ostatni posiadał jednak niezniszczalne pierwiastki świadczą najdowodniej dzieje serbo-chorwackiego miasta Dubrownika. Ta przemianowana przez Włochów na Raguzę stolica Dalmacji, w warunkach najtrudniejszych, bo w czasie wszechogarniającego swemi kulturalnemi wpływami włoskiego odrodzenia, swoją duchową odrębność utrzymała. Grupa wygnańców z Bośni i Hercegowiny, która się tam przed prześladowaniami tureckiemi schroniła, w połączeniu z miejscowemi żywiołami, rozwinęła w XVI i XVII wieku tak żywy ruch literacki, że stał się on podwaliną przyszłego piśmiennictwa jugosłowiańskiego, co ważniejsze jeszcze, pisarze ówcześni jak: uczeń Torquata Tassa Gondulicz, jak gorący zwolennik Savonaroli Dobroticz, jak Wrancicz wreszcie, odrzucili zwycięsko tyle kuszące ich wpływy świetnej sztuki włoskiej i oparli się jedynie na rdzennych pierwiastkach słowiańskich. Dziś dopiero doceniono dostatecznie bezcenną wartość dla kultury narodowej zbioru pism Wrancicza, składającego się z 12 tomów poezyj opartych na pieśniach i podaniach ludowych.

Świetne czasy „Aten słowiańskich" jak nazwano niegdyś tę kulturalną współzawodniczkę Wenecji, przeminęły, dziś jest to „Umarłe miasto", którego tragiczne dzieje przedstawił współczesny poeta jugosłowiański Iwo Vojnowicz, w cyklu dramatów, granych i na scenie krakowskiej.

Wracajmy jeszcze do Zagrzebia, tego uroczego miasta, gdzie ludność pełna południowego temperamentu, zdradza niezwykłe uzdolnienia artystyczne. Nie będziemy ich szukać w ciekawej skądinąd Galerji Strossmayera, ale przejdziemy się po placu Jelaczisza w dzień świąteczny. lub zboczymy do Muzeum sztuki zdobniczej ludowej. Wprost olśniewa przepych barw, jakby promieniami słońca prześwietlonych, zadziwia bogactwo linij i oryginalnych pomysłów w strojach i zdobnictwie sprzętów domowych. Oto dzban, cały pokryty ciekawemi rysunkami przypominający kształtem naczynia etruskie a wytworzony z wydrążonej i wysuszonej tykwy, oto róg bawoli przekształcony w puhar starożytny a ozdobiony wzorami o subtelnych linjach w fantazji pastuszka górskiego wyczarowanemi. Oto barwne girlandy kwiatowe kopjowane z natury i samodzielnie stylizowane przez dziewczęta wiejskie a następnie jako haft na ich muślinowe spódnice przeniesione.

I ten to o bujnych uzdolnieniach odłam szczepu słowiańskiego, musiał długie lata ulegać niwelującym jego odrębność, władzom węgierskim. Nic dziwnego, że i obecnie jeszcze buntuje się wobec cienia nawet jakiejkolwiek przewagi.

A jak dalece Chorwat ceni swoją rodzimą sztukę zdobniczą, zaświadczyć może fakt, że w słowniku artystów jugosłowiańskich ułożonym przez Kukuljicza, na jednej linji postawiono malarzy i rzeźbiarzy wyszkolonych z wiejskimi twórcami z bożej łaski.

Im bliżej wschodu, tem głębiej sięgnęły wpływy tureckie, tak długo ciążące nad Jugosławją. Sztuka nabiera też w Bośni i Hercegowinie więcej egzotycznego charakteru.

Austrja dumna niegdyś z opanowania Adrjatyku organizowała w Wiedniu, od czasu do czasu wystawy p. n. Adrja, Wiedeńczycy rozkoszowali się wtedy przepychem barw i oryginalnością „wschodnich" wyrobów, obficie zgromadzonych. Nie wiedziano, że pod tym obcym nalotem kryje się dusza słowiańska a Bośnia i Hercegowina w szczególności to jej najstarsze gniazdo, jak o tem świadczą nazwy miejscowości wszystkim nam wspólne. Stwierdził to wreszcie bośniacki poeta

Ruchliwy, gwarny, zapełniony straganami przekupniów plac Jelaczisza w Zagrzebiu

Szanticz, który po wyzwoleniu i zjednoczeniu Jugosławji ułożył najpiękniejszy, najbardziej płomienny hymn narodowy. I stosunki umysłowe układają się w ten sposób w całym kraju, że każda z dzielnic w osobie swoich duchowych przywódców jak: poeta słowiański Stankar, serbski Duczicz, chorwacki Nazar i wspomniany powyżej bośniak Szanticz niosą wspólnej ojczyźnie dań swoich talentów i snują dalej myśl Ludewita Gay'a.

Pomimo tych cennych pierwiastków jakie posiada każda z dzielnic Jugosławji, Piemontem jej jest i pozostanie zawsze Serbja, pomimo pewnego kulturalnego zacofania, a to z zasadniczych przyczyn.

Już gdy zbliżamy się do tej dzielnicy, uderza nas różnica klimatu i krajobrazu, jest on tu zimniejszy i dzikszy.

Znać tu jakby podmuch płynący z wielkich obszarów Rosji, który pewną obcością i chłodem owiał te okolice. Potęgują jeszcze to wrażenie cerkwie prawosławne ze swoim bizantyńskim charakterem. A jednak Serbja ma za sobą już szereg lat trwania własnej państwowości, co pozwoliło na urobienie pewnych form bytu niepodległego z jego aparatem wojskowym i administracyjnym. Poza tem jest ona kolebką najstarszej tradycji niezależności politycznej i walk bohaterskich o wolność. Tradycja ta jest tak silna, że stała się wiarą całego ludu, który jest twórcą epopei narodowej, przekazywanej z pokolenia na pokolenie w formie „Pieśni o Królewiczu Marku".

Co uczynił dla Grecji jeden natchniony człowiek, Homer, to sprawiła dla Jugosławji twórczość zbiorowa a bezimienna. Pieśń ta rosła i potężniała jak lawina, bo każda niemal jednostka dorzucała do niej nowe zwrotki i powstał tym sposobem ów skarb bezcenny, pokarm duchowy dla całego narodu. Składa się on ze zbioru pieśni mieszczących w sobie cały świat uczuć. Są one męskie i żeńskie, rolnicze, obrzędowe, miłosne i żartobliwe, religijne; a wszystkie uzupełniają wielką pieśń rycerską o Królewiczu Marku i o bitwie na Kosowem polu, na którem niepodległość serbska uległa zagładzie. Tym sposobem objęte jest całe życie narodu. Tłumaczył tę epopeę Goethe, szukał w niej Herder pierwiastka wiecznej młodości ludów, pisali o niej studja Grimm i Humboldt, zajął się nią genjusz francuski i ukazały się w Paryżu jej przekłady, mówił o niej w porywających słowach Mickiewicz w swoich wykładach w Collège de France. Zawędrowała nawet do posępnej Anglji, znajdując tam ton pokrewny w poezji Browning'a, tłumaczył ją przyrodzony antagonista południowej słowiańszczyzny, Włoch Carrara. W Polsce tłumaczyli ją: Roman Zmorski, Izydor Kopernicki, Bohdan Zaleski i inni.

Dla Serbów pieśń była przez długie wieki tą harfą, na której złotych strunach grać jedynie mogły, przemocą tłumione, uczucia, odzewem walki o wolność i wreszcie mieczem zwycięstwa. Były czasy, że i ona milknąć musiała, przylegając tylko miłującemi usty do ziemi ciężką niewolą nękanej. A trwała ona długo — całych 400 lat.

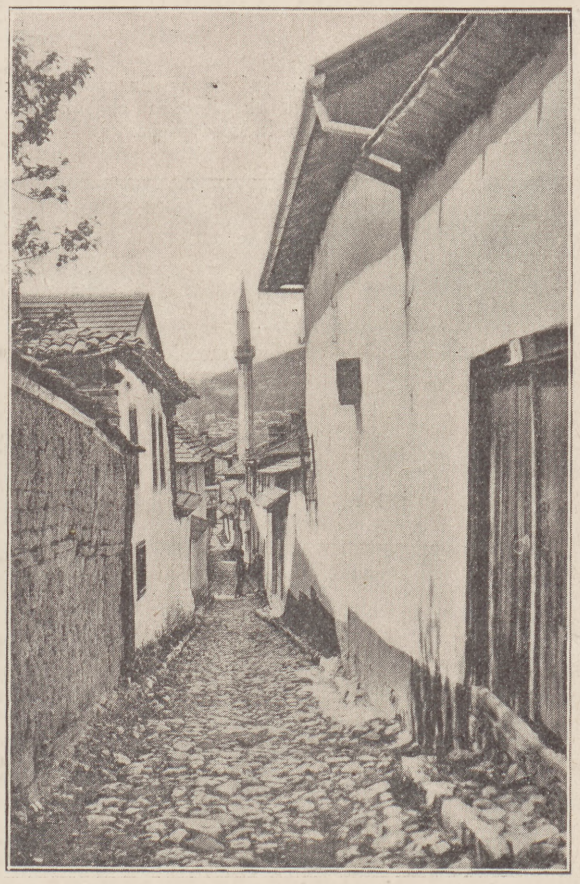

Ulica turecka w Serajewie

*

Przed wolną i zjednoczoną Jugosławją stanęło obecnie hamletowe pytanie: w jaki sposób uzgodnić odrębne prawodawstwo, swoiste obyczaje i odmienną psychikę ludności każdej poszczególnej dzielnicy z centralnym rządem w Belgradzie? Próby federacyjnego rozstrzygnięcia tego problemu rozbijać się muszą o niebezpieczeństwo osłabienia całości, na której integralność czyhają zachłanni sąsiedzi. A brak jest jeszcze Jugosławji możności morskiej ekspansji, gdyż Triest, otoczony ze wszech stron autochtoniczną ludnością słowiańską, jest dla niej stracony. Poniesiono tu dotkliwą klęskę przez chybiony plebiscyt w Karyntji, gdzie się ruch kulturalno-narodowy b. pomyślnie rozwijał. Niełatwo jest przeboleć przyłączenie do Austrji 400,000 Słoweńców, tem więcej, że wskutek tej klęski Włosi wyciągają rękę po święte dla każdego Słoweńca okolice jeziora Bled, gdzie u stóp największego szczytu Alp Julijskich urodziły się legendy zapładniające ruch wyzwoleńczy. Od strony Turcji grozi nowoutworzonemu państwu ciągła walka z rozbójniczemi bandami albańskiemi.

A więc niemal koniecznością państwową jest spokój wewnętrzny i ścisłe zespolenie dążeń i celów, z jednoczesnem szukaniem porozumienia z pokrewnemi narodami, z któremi nic nie różni i nie dzieli.

Narazie, jak przypuszczamy, został wprowadzony ustrój prowizoryczny; zawieszono parlament i zorganizowano decentralizację. Jugosławja podzielona została na 9 jednostek administracyjnych, każda z osobnym banem na czele, którego zadaniem jest pilne wsłuchiwanie się w potrzeby i pragnienia ludności miejscowej.

Nie wątpimy, że naród tak bogato w duchowe pierwiastki uposażony ma przed sobą jak najświetniejszą przyszłość i że do niej właściwą sobie drogę znaleźć potrafi.

I. W. Kosmowska

PORTRET WILHELMA II

Wilhelm II przeszedł już do historji. Nikt wprawdzie nie zaręczy, czy „pustelnik z Doorn", czyli unieruchomiony jakby za karę „Reisekaiser" nie wyskoczy jeszcze na arenę świata niby deus ex machina, bo nie jest to niemożliwe przy dzisiejszym nastroju zbiorowego umysłu niemieckiego. Bądź jak bądź jednak nie dorzuci już bodaj nic ważkiego do epilogu swych dziejów, a z pewnością nie zmieni ostatecznego sądu i wyroku, jaki wydała o nim historja piórem tylu a tylu osobistości jego ery, począwszy od Bismarcka.

Tego koronowanego kabotyna na tronie przypomniały nam teraz dwa dzieła: „Denkwürdigkeiten" księcia Bülowa i tłumaczone na polskie, szeroko zakrojone, a nad wyraz zajmujące studjum psychologicznie Emila Ludwiga: „Wilhelm II" [1]).

Autor studjum o Napoleonie nie przedstawia nam epoki Wilhelma II, ani też historji jej prowodyra, lecz daje nam portret tego anachronicznego monarchy, który przez dziesiątki lat intrygował swą osobą świat, a kilkakrotnie trzymał w ręku wagę wojny i pokoju, aż wreszcie rozpętał furje i pogrążył narody w kałużach krwi. Bo z książki Ludwiga wynika, że Wilhelm II, aczkolwiek nigdy nie chciał wojny, wywołał ją sam osobiście. Jak dziecko bawił się zapałkami, a gdy wybuchł pożar, przeraził się śmiertelnie. Gdy otworzyła się puszka Pandory i cesarz pojął wreszcie co się stało, „z rozpaczą w sercu rozpoczynał wojnę" i, jak pisze jeden z jego zauszników, „nigdy w życiu nie miał tak tragicznego wyrazu twarzy, jak dnia tego".

Jeżeli Niemcy w swej akrobatyce umysłowej i kłamliwem zacietrzewieniu usiłują wmówić obecnie w siebie i w świat, że nie ponoszą winy za wywołanie wojny, to zaiste trudno będzie im dowieść tej tezy, gdyż jest to całkiem przesądzoną sprawą, na podstawie źródeł niemieckich i orzeczeń najkompetentniejszych czynników.

Emil Ludwig wydaje o cesarzu sąd druzgocący, nie różniąc się wcale od Bismarcka i Bülowa, od Waldersee i Moltkego, Eulenburga i Zedlitza. Sam mówi, że nie pisze nic innego od nich. A podejmuje ten temat ostrożnie, lękając się zarzutu stronniczości, zarówno jak przejaskrawienia wizerunku. Stoi na stanowisku obywatela, mierzy cesarza jako monarchę i człowieka i jego ludzi łokciem dobra państwa i pragnie o nim mówić raczej dobrze niż źle. Dlatego nie wnika w „chronique scandaleuse" dworu berlińskiego, nie demaskuje intymnych spraw cesarza i nie posuwa się do kategorycznych twierdzeń, jakie ogół wysnuwał o obyczajach Kaiser'a z głośnego procesu księcia Eulenburga w roku 1908-ym.

Ludwig unika, o ile to możliwe, tego drażliwego tematu, a jako okoliczność łagodzącą sąd o jego wszystkich grzechach podkreśla jego fizyczne upośledzenie, które towarzyszyło mu przez całe życie niby kula u nogi, a wywierało wpływ decydujący na jego ustrój nerwowy, jego psychikę i mentalność.

Tymczasem urodził się na cesarza, czyli na żołnierza jak wymagała tego tradycja rodu. Wypadało mu przeto zadać swej naturze gwałt, oszukiwać ludzi i upozorować się na coś, czem w istocie nie był. Nieuleczalna niemoc i niedołęstwo krótszego lewego ramienia z jakby uschniętą ręką, stanowiło przeszkodę

Kaiser wśród wojska
(Fotogr. angielska z lutego 1913 r.)

w normalnym rozwoju psychicznym i fizycznym i wytwarzało raz na zawsze uczucie lęku wobec silniejszego osobnika. A że tego nie uznawał, więc na każdym kroku kłamał przed sobą i światem, bawił się ciągle żołnierzami, udawał rajtara, wielkiego komtura, powiększał wojsko, pobrzękiwał szablą i wygrażał pięścią na wszystkie strony tak, iż świat nie mógł nie widzieć w nim nieobliczalnie groźnego boga wojny.

W rozwichrzeniu swem krańcowy nerwowiec, stawiał Niemcom wyjeżdżającym na wyprawę chińską przed oczy przykład Hunów i porównywał siebie z Atyllą. Zgoła wierzyć się nie chce, aby nowoczesny monarcha mógł wołać: „Nie brać jeńców! Nie dawać pardonu! Kto wam wpadnie w ręce niech ginie, a słowo „Niemiec" niechaj budzi najokropniejszy postrach!".

Ta obłędna wojowniczość histrjona, maskującego wrodzone tchórzostwo, stanowiła najwydatniejszy rys jego charakteru; dźwięczała w jego autokratyzmie średniowiecznym, w jego despotyzmie i cezaryzmie, a więc w takich kwiatkach jego niepohamowanej swady: „Voluntas regis suprema lex". „My Niemcy nie boimy się nikogo prócz Boga", „Prowadzę was ku wspaniałym czasom!", „Znam tylko dwie partje: ze mną lub przeciwko mnie".

Z tego wypływa cała polityka cesarza i jego program w stosunku do partyj parlamentarnych. „Do każdej z nich cesarz się zniechęcał, — pisze E. Ludwig, — parlament Rzeszy i sejm pruski uważał za domy pełne niedojrzałych i upartych ludzi; zaledwie rozróżniał ich barwy polityczne. Stałem jego życzeniem było rozpędzić ich, a bunty uśmierzyć zapomocą gwardji. Od otwarcie doradzanego zamachu stanu powstrzymywała go jedynie niepewność wyniku". Groził posłom i wymyślał im od durniów i osłów, poczytywał ich za godnych szubienicy, lecz jednocześnie naród niemiecki uważał za „sól ziemi" i za naród wybrany, specjalną od Boga misją nabierzmowany.

„Tylko jeden pan jest w kraju — ja nim jestem!" wołał ten autokratyczny junak. A że w pancerzu krzyżaka krył się tchórz wydało się, gdy w r. 1908 doszło w stolicy do rozruchów z powodu wyborów. Cesarz kazał przywołać na zamek 150 policjantów i z zacięciem odezwał się do swych adjutantów: „Gdybym był się zaraz dowiedział o tych zamieszkach, byłbym zaalarmował wojsko i oczyścił ulicę".

„Na to, pisze Ludwig, pewien dworzanin zauważył pokątnie: „Cesarz wcale tego nie myśli, tylko tak mówi, a później i tak tego nie uczyni". Gdy zawiadomiono cesarza o 30 rannych, rzekł: „Jestem zupełnie zadowolony. Ale następnym razem niech nie rąbią płazem, lecz ostrzem szabli".

„Na zasadzie tych słów można przewidzieć zachowanie się cesarza w czasie wojny lub rewolucji. Wyda on krwiożercze rozkazy, lecz sam krokiem się nie ruszy z zamku, gdzie obwaruje się siłą zbrojną".

W swem pojęciu uniwersalny genjusz z bożej łaski, wtrąca się we wszystko, a nie robi nic. Lęka się pracy jak ognia, chociaż odznacza się niemałemi zdolnościami i ogromną fosforescencją mózgową, górując pod tym względem nad wszystkimi Hohenzollernami. Brak mu skupienia i wytrwałości. Z takiego materjału formuje się generalny fuszer. Wszelkie referaty kanclerza i generałów nudzą go nad wyraz, ważne wiadomości państwowe musi Bülow przemycać mu w toku zabawy. A jednak chce decydować o wszystkiem.

Natomiast przepada za podróżami, gdzie czekają go bramy triumfalne i okrzyki: hoch!, gdzie można obnosić swój majestat niby monstrancję. Lubuje się w polowaniach i w hulankach. Przez 30 tygodni w roku jest poza domem, a polowania zamienia w rzezie niewiniątek, bo każe napędzać sobie zwierzy-

Wilhelm II „na wygnaniu" w Doorn (Holandja) w otoczeniu swojej rodziny

[1]) Emil Ludwig: Wilhelm II — Spółka Wydawniczo-Drukarska: Kadra. Warszawa, 1930.

nę tuż pod lufę, którą trzyma strzelec. I tak raz w ciągu trzech dni kładzie 1675 sztuk zwierzyny i — jest królem polowania.

Oczywiście. Tak samo na manewrach musi zawsze zwyciężyć. A gdy generał Waldersee— który pewnego razu płacze z powodu dyspozycji generalskich Kaiser'a — pozwala sobie pokonać jego korpus, cesarz chytrze usuwa go z ministerstwa i przenosi na prowincję.

Już nauczyciel jego uważa go za typ kobiecy. Ale ponieważ Kaiser pragnie uchodzić wobec siebie i świata za stuprocentowego mężczyznę, nie szuka kochanek, nie przywiązuje się do tych, które los nadarzy. Wybiera za przyjaciół zniewieściałych mężczyzn, częste hulanki przemieniają się w ekscentryczne błazeństwa. Wydaje się nie do wiary np., że szef gabinetu wojskowego, generał hr. Hülsen Haeseler popisuje się w pewnym książęcym salonie w tańcu solowym przebrany za baletniczkę, gwoli zabawie „majestatu".

Jacht cesarski zamienia się w pływające kasyno, gdzie tygodniami kwitnie bezczynność, bezmyślność i rozpasanie. Rankiem nawet starzy generałowie wykonują na pokładzie ćwiczenia gimnastyczne, przyczem cesarz szturcha ich tak, że się przewracają. Śmieją się z tego żartu, lecz w duszy klną, a potem wymyślają na cesarza. Cesarz rozdaje w tem towarzystwie role. Jeden generał zostaje ministrem ponczu, inny kapelmistrzem kociej muzyki, inny arcybiboszem, inny rzeczoznawcą w sprawach karcianych i t. d. Pewien graf popisuje się udawaniem głosów zwierząt, dygnitarz pokazuje sztuki kuglarskie, dwóch generałów występuje jako bracia siamscy ze związanemi kiełbasą(sic!) ramionami. A wszyscy ci panowie to nie wyrostki; liczą 35 do 60 lat.

Tak bawi się Kaiser, topiąc w błazeństwach i sprośnych dowcipach dobry smak i delikatność uczuć. Żaden z jego przyjaciół nie może liczyć na niego. Nawet ukochany „Fili", książę Eulenburg, będąc w obliczu skandalicznego procesu, wylatuje ze dworu, nie przesłuchany wcale przez cesarza, z którym jest na „ty". Zresztą każdy musi się znudzić Kaliguli; zużywa on ludzi jak rękawiczki i ciska na śmietnik.

Wilhelm II podczas manewrów w rozmowie z austrjackim attaché wojskowym

Cesarz Wilhelm, ks. Henryk Pruski i ks. Leopold Bawarski na inspekcji fortów nadmorskich

Otaczają go stada płazów, pochlebców, karjerowiczów, z których wszakże każdy ocenia go w gruncie rzeczy mniej lub więcej trafnie. Wszyscy poczytują go za niebezpiecznego dla państwa, rozwichrzonego egotystę i histrjona. Na korzyść społeczeństwa niemieckiego podnieść należy, że nikt obłędu nie poczytuje za genjalność, nikt feldmarszałka, przez siebie samego mianowanego nie ma za Napoleona, a światlejsi ludzie z głęboką troską patrzą w przyszłość. Nie mówiąc już o Bismarck'u, który stawia mu czoło zawsze, byli ludzie w jego otoczeniu rozumni, uczciwi i odważni, co ośmielali się okolicznościowo rąbnąć mu słowa prawdy. A przewidujących katastrofę było niemało. Pewien stary junkier mówi: „Niech nas Pan Bóg strzeże przed wojną, póki ten cesarz jest na tronie. Nie umiałby zapanować nad nerwami. To przecież tchórz!" Bismarck i generał hr. Waldersee przepowiadają ruinę państwa, nawet ks. Filip Eulenburg, mimo swe uczucia dla „przyjaciela", patrzy czarno w przyszłość Niemiec. A matka cesarza, już w chwili wstąpienia jego na tron, wypowiada prorocze słowa z emfazą: „Zapamiętajcie sobie, co powiadam: syn mój będzie zgubą Niemiec"...

Z manewrów floty niemieckiej. Wilhelm II w mundurze austrjackiego marszałka polnego i arcyksiążę Franciszek Ferdynand w uniformie admirała niemieckiego

Okropna nicość tego teatralnego zjawiska ujawnia się w wojnie, jaką wywołuje on skutkiem chorobliwej impulsywności, igrania z ogniem wojny, szałaputnej arogancji i obłędnego rozumowania. Niema przy jego boku Bismarck'a lub Bülowa, który, jak sądzi Emil Ludwig, byłby potrafił odwrócić katastrofę. I tak jeszcze na 4 dni przed wojną, gdy minister sir Edward Grey proponuje zwołanie konferencji czterech ambasadorów, Kaiser odpycha szyderczo tę propozycję ratunku, wobec czego ściąga na siebie i swe państwo odium wywołania wojny.

Koniec jego sromotny, tragicznie sromotny. Dość podnieść, że cesarz, który w toku wojny nie okazał ni cienia waleczności, w obliczu rewolucji, trzymając się korony kurczowo, chce uderzyć na Berlin, na swych zrozpaczonych rodaków, którzy, gdyby nawet nie chcieli, muszą usunąć go z tronu. Ale wszystkie oddziały w stolicy przeszły na stronę rewolucji. Sprawdza się to, co rzekł do niego Bismarck: „Póki J. Cesarska Mość ma za sobą korpus oficerski może sobie pozwolić na wszystko, gdy to zawiedzie... niewiadomo co nastąpi".

Więc cóż począć? Kto cesarza miłuje, wie co mu uczynić wypada. Jakoż junkrzy pomorscy oświadczają swą gotowość oddania życia za cesarza, albo raczej pospołu z cesarzem. Prof. Delbrück przybywa do kwatery Wilhelma II, by umrzeć przy jego boku. Ten i ów przypuszcza, że cesarz popełnił lub popełni samobójstwo. Przecież pierwowzór Kaisera, Fryderyk Wielki nosił zawsze przy sobie truciznę.

A Wilhelm II? „W zupełnie prymitywny sposób, tak, jak to widywał w teatrze, sprowadza do swej willi broń i amunicję, jakby chciał się obwarować. I woła: „Moja żona trzyma się dzielnie, a mnie chcą namówić, abym udał się do Holandji! Nie uczynię tego! Kapitan nie opuszcza tonącego okrętu!".

Tableau. Scena ze sztuki, jaką sam stworzył. Lecz wkrótce potem bohater tragedji niemieckiej... zajmuje się zaprowiantowaniem swej twierdzy. Jeszcze godzina czy dwie i ...imperator wsiada w pociąg dworski i kładzie się spać. Nazajutrz ucieka...

Teraz dopiero tragedja niemiecka doszła do zenitu.

„Każdemu innemu — pisze autor tego dzieła — wolno było przekładać życie nad bohaterską śmierć, lecz jemu nie! Tego nie było wolno Wilhelmowi II 9-go listopada 1918 r.

„Po 4 bezczynnych latach, w ciągu których wszyscy, prócz ciebie poświęcili wszystko, odmówiłeś swemu narodowi ostatniej usługi, jaka uratowałaby ciebie w oczach historji. I, aby tylko zachować własne życie, łamiesz złożoną dziadowi przysięgę. Przysięgę, którą wbijałeś w głowę tysiącom ludzi jako świętość!...".

Histrjon pierzchł ze sceny i zda się Faust Goethe'go jęknął: „Co za widowisko!... Ale ach, tylko widowisko!...".

*

W umyśle Germanji Wilhelm II pozostał jeszcze żywy, dla nas zaś jest tylko wspomnieniem, barwną ale martwą figurą z zamkniętego tomu historji, budzącą uśmiech pogardliwy. Utrwalił się on na naszej płycie pamięciowej jako, obok Bismarck'a, najjaskrawszy okaz plemiennej, krzyczącej, bezwzględnej nienawiści teutońskiej do Polaków, — jako krzyżak, co źle dla nas chciał, a zrobił dobrze. I tak — może warto przypomnieć — na zjeździe rycerzy zakonu niemieckiego w Malborgu gromowładny Jowisz w szkarłatnym płaszczu obwieścił przeciw nam krucjatę, wołając: „Wzywam was wszystkich, rycerze, do świętej (!) wojny z polską bezczelnością i sarmacką butą!".

Gdy kanclerz ks. Bülow, coraz zapalczywiej „wzmacniając zagrożoną niemczyznę", przystąpił do przedłożenia ustawy wywłaszczeniowej, napotykającej na poważną opozycję w obu izbach prawodawczych, znalazł entuzjastyczny oddźwięk u cesarza. Wilhelm II rozstrzygnął tę sprawę na krótkiem toporzysku.

„Immer feste auf die Weste!" — zawołał do Bülowa. — Przycisnąć ich do muru! Dawno już potrzeba mi takiej przeciw Polakom ustawy".

Huzia na Polaków! To całkiem w stylu Wilhelma II. Jeśli dorzucimy do tego słowa wyrzeczone przez Kaiser'a na polowaniu u pewnego grafa na Morawach, że „Polaków trzeba zawsze ćwiczyć batogiem", będziemy mieli maksymę, jaką się względem Polaków kierował, oraz pełny wyraz jego istotnych dla nas uczuć.

Maciej Wierzbiński

O HENRYKU SIENKIEWICZU

Henryk Sienkiewicz, obraz twórczości. Ułożył, poprzedził wstępem oraz uzupełnił życiorysem, bibljografją i przypisami *Kazimierz Czachowski*. Warszawa, 1931. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Jest to pierwsza u nas większa (obejmująca przeszło 340 stronic) książka tego rodzaju, to znaczy książka, na którą, prócz zwięzłego życiorysu wielkiego pisarza i bibljografji, składają się świadectwa i sądy współczesnych i potomnych o jego życiu, charakterze, twórczości, zasługach. Niema takiej książki ani o Mickiewiczu, ani o Słowackim, ani o Krasińskim. Już choćby z tego względu zasługuje książka Czachowskiego na prawdziwe uznanie, zwłaszcza, że wybór z literatury krytycznej o Sienkiewiczu, którą autor zbadał bardzo dokładnie, jest umiejętny i wysoce bezstronny.

Że sądy dodatnie przeważają tutaj nad ujemnemi, że z ogromnej większości kart „obrazu twórczości" Sienkiewicza bije uwielbienie i zachwyt, a tu i owdzie tylko słychać zgrzyty niechęci, — to się tłumaczy nie osobistą predylekcją Czachowskiego, tylko tym faktem, że się ogół krytyków polskich poznał nietylko na genjalnym talencie, ale i na nieśmiertelnych zasługach narodowych Sienkiewicza, których nie odebrała mu i nigdy nie odbierze ani niechęć, ani zazdrość, ani ciasnota. W bilansie dzisiejszym krytyki literackiej, dotyczącej Sienkiewicza, głosy Chmielowskiego, Spasowicza, Tarnowskiego, Bogusławskiego, Matuszewskiego, Gostomskiego, Kleinera, oraz Konopnickiej, Prusa, Żeromskiego, Lechonia, — mają przytłaczającą przewagę nad głosem głównego pomniejszyciela zasług Sienkiewicza — Stanisława Brzozowskiego. Oczywiście, autor głosu tego nie pominął — pominął zato głosy, zawarte w książce Wacława Nałkowskiego p. t. „Sienkiewicziana", będącej, jak słusznie pisze autor, „w wielu miejscach wprost oszczerczym paszkwilem", i przypominającej, dodajmy od siebie, niegodziwe kalumnje, jakie rzucały różne męty emigracyjne na Mickiewicza podczas jego profesury w Collège de France.

Co natomiast wolno Czachowskiemu zarzucić, to, że pominął ocenę „Ogniem i mieczem" przez Bolesława Prusa i ocenę „Listów z Afryki" przez Weyssenhoffa. Szkoda, bo przecie obydwie recenzje stanowią w literaturze krytycznej o Sienkiewiczu tem ciekawszą i ważniejszą pozycję, że wyszły z pod pióra tak znakomitych twórców. Szkoda także, ale z innych względów, że autor nie przedrukował recenzyj Jeża i Kaczkowskiego, które są bardzo wymownym wyrazem... „zawiści zawodowej".

Te drobne usterki nie przeszkadzają jednak do stwierdzenia, że książka Czachowskiego jest wydawnictwem niezmiernie pożytecznem zarówno dla ogółu czytelników, jak dla historyków literatury. Miłośnikom Sienkiewicza daje ona możność poznania całego szeregu dawno zapomnianych, szerszemu ogółowi nieznanych, rozproszonych po czasopismach, a nieraz znakomitych krytyk (np. Bogusławskiego, Gostomskiego i innych), i wogóle przesuwa przed oczami czytelników całą historję kultu Sienkiewicza. A dla historyków literatury będzie książka Czachowskiego doskonałą wskazówką i zachętą do opracowania historji tego kultu.

Lecz kto się tego zadania podejmie, ten będzie musiał pamiętać, że (jak to już przed laty stwierdził znakomity, a przedwcześnie zmarły krytyk francuski, Emil Hennequin) jeśli historja kultu wielkich pisarzów ma być krytyczną, to nie wolno jej opierać jedynie na głosach „oficjalnej krytyki": trzeba jeszcze — obok faktu poczytności albo niepoczytności, obok materjału anegdotycznego i t. d. — uwzględniać głosy krytyki „niefachowej", która nieraz bywa lepszem kryterjum i wyraźniejszym dowodem kultu od krytyki oficjalnej. O wrażeniu, jakie w zaborze rosyjskim zrobił „Pan Tadeusz", daje lepsze pojęcie krótka wzmianka w pamiętnikach Pawła Popiela, niż studja krytyczne; a z pamiętników Gabrjeli Puzyniny (która „Krystynę" nazwała młodszą siostrą „Pana Tadeusza") widać jasno, jak wielką poczytnością cieszyły się w swoim czasie, ile szlachetnych wzruszeń budziły powieści Hofmanowej.

Otóż przyszły historyk kultu Sienkiewicza w Polsce będzie musiał oprzeć się — pomiędzy innemi — na p a m i ę t n i k a c h. Wyszły np. niedawno pamiętniki Tadeusza Hołówki („Przez dwa fronty"); niechże wolno będzie przytoczyć z nich jeden dłuższy ustęp.

„Dlaczego właśnie Sienkiewicz — myślałem — osiągnął ten cud, że bohaterowie z jego „Trylogji" — Wołodyjowski, Skrzetuski, Zagłoba, Podbipięta, Bohun, Kmicic, Soroka — żyją w świadomości narodu polskiego, stali się postaciami realnemi, niemal historycznemi, narówni z królem Janem Kazimierzem, Wiśniowieckim, Chmielnickim? Dlaczego? Bo Sienkiewicz był Tkaczem, który szarą nić smutnej rzeczywistości narodu powiązał ze złotą nicią przeszłości polskiej i zaczął tę złotą nić wplatać w duszę budzącego się z wiekowego letargu chłopa polskiego, wiązać nią serce robotnika polskiego mocnemi węzłami z historją narodu, od której chciano go zupełnie oderwać, ucząc, że proletarjat nie ma nigdzie ojczyzny i że winien kroczyć ku nowemu ustrojowi społecznemu drogą kosmopolityzmu. Dla warstw zaś oświeconych, dla tych wszystkich epigonów dawnej szlachty, wegetujących za ladą lub przy biurku, „Trylogja" stała się cudotwórczym eliksirem, który obudził w każdym z nich atawistyczne instynkty, sprawił, że żywiej zaczęła krążyć krew w zwiotczałych żyłach, wydobywając na powierzchnię duszy z najgłębszych pokładów zamarłe, zapomniane i lekceważone tradycje przodków. Wspomnienie tej dalekiej przeszłości obudził Sienkiewicz właśnie w pokoleniu, któremu trzeźwy rozum i hasło wzbogacenia się dyktowały, aby odwrócił się od tej przeszłości i zapomniał o niej. Sienkiewicz potęgą swego talentu przypomniał swemu pokoleniu tę przeszłość, jak się przypomina dawny sen, który się śniło, a którego po przebudzeniu nie pamięta się, chociaż tkwi podświadomie gdzieś tam na dnie duszy. Lecz to nie był sen, jeno zapomniana rzeczywistość, którą każdy nosił w sobie, biorąc ją w spadku od przodków razem z krwią, która, jak z kielicha do kielicha, z pokolenia w pokolenie się przelewała. I oto każdy po przeczytaniu „Trylogji" zaczynał odczuwać, że tkwi w nim wspomnienie tamtych minionych czasów, że krążą w żyłach jego te same krople krwi, które krążyły ongi w żyłach tych, którzy tamtych czasów byli uczestnikami lub świadkami. I dlatego dziś w każdym z nas właśnie „Trylogja" budzi wspomnienie uniesień, wad i przeżyć naszych przodków, które nanowo tak realnie zaczynamy psychicznie przeżywać. Każdy z nas, będąc nawarstwieniem minionych pokoleń, potrochu odnajduje samego siebie w każdym z bohaterów Sienkiewicza... Dlatego też wszyscy ci wyimaginowani talentem Sienkiewicza bohaterowie są w naszej świadomości realnemi postaciami, bo są to portrety i życiorysy naszych przodków, bo takimi byli oni w rzeczywistości — a że byli takimi, a nie innymi, zaświadcza nam o tem nasza własna krew, w spadku po tych przodkach u nas krążąca".

Czy to świadectwo nie jest bardzo wymowne? czy d z i s i e j s i pomniejszyciele Sienkiewicza rozumieją i odczuwają tę jego największą ze wszystkich zasług (której nie rozumiał i nie odczuwał ani Brzozowski, ani Feldman), że „Trylogja" zaczęła wplatać w duszę chłopa polskiego i robotnika polskiego złotą nić przeszłości polskiej, to znaczy uświadamiać mu jego polskość? Niżej podpisany widział i czytał własnemi oczami (w roku 1896) list pewnego robotnika polskiego, pisany z S y b e r j i do redaktora „Słowa", Mścisława Godlewskiego, z podziękowaniem za przysłanie „Trylogji", list, zawierający te mniej więcej słowa: „Ja dopiero teraz czuję, że jestem Polakiem".

W wydanych w roku 1929 pamiętnikach pani Anny Leo p. t. „Wczoraj" jest sporo ciekawych wspomnień o Sienkiewiczu, które sięgają epoki jego młodości.

Można być pewnym, że zczasem, w miarę ogłaszania drukiem różnych pamiętników, zalegających w rękopisach, przybywać będzie coraz więcej ciekawych przyczynków do charakterystyki Sienkiewicza.

Otóż czy wolno prosić Czachowskiego, żeby o nich w drugiem wydaniu swojej książki pamiętał?

Ign. Chrzanowski

ZYGMUNT NOWAKOWSKI 16)

PRZYLĄDEK DOBREJ NADZIEI

A państwo kościelne Bolek sprzedał w klasie. Właściwie zamienił za jakiś rzadki Sudan, dwa Hondurasy i Boliwję. Mówi, że doskonale na tem wyszedł, bo było znacznie mniej warte. Zresztą w albumie zostało jeszcze jedno takie samo, także z tiarą i z kluczami, tylko trochę naddarte od dołu. To dziwna historja z tem państwem kościelnem! Babcia była akurat wtedy we Włoszech, kiedy się to wszystko stało, ale mi jednej rzeczy wytłumaczyć nie może. Tego, że papież sam, z własnej woli, nie chce za skarby świata wyjść z Watykanu, choćby go napewno puścili. Nawet byliby zadowoleni. A on nie, i nie!... Tam są podobno wspaniałe ogrody ale zawsze... Tak siedzieć całe życie na jednem miejscu! choćby nawet w ogrodzie!

Musi być ambitny i uparty. Obraził się i za nic nie chce się dać przeprosić. Pewnie dlatego, że go ciągle proszą o to, aby wyszedł. Najlepiej w takim wypadku dać spokój i nic nie mówić. Udać, że nikomu na tem nie zależy a sam wyjdzie. To jedyny sposób. Mówiłem o tem z babcią i pogniewaliśmy się trochę.

Jestem nawet zadowolony z tego, bo wolę oglądać marnik sam, bez pomocy. I tak są rzeczy, których mi nikt nie wytłumaczy, więc lepiej nie nudzić nikogo. Mogę się bawić markami przez cały dzień. Raz nawet udałem, że jestem chory i kaszlałem rano tak mocno, że wreszcie mama usłyszała i zakazała mi wstawać. Więc zostawili mnie w łóżku i dali marnik. Kasia nawet zapomniała o drugiem śniadaniu dla mnie, ale się nie upominałem wcale. Było mi zupełnie dobrze. A potem w nocy śniła mi się Persja. Była podzielona na wielkie białe i czarne kwadraty, a po nich chodziły ogromne wieże z kości słoniowej i koralu. Dziwne konie o jednej nodze przeskakiwały po trzy pola odrazu, a zmęczone, zdyszane laufry, pędziły na wskos przez całą Persję. A za długim szeregiem nieruchomych pionków stał szach perski w barankowej czapce, zupełnie taki sam, jak na markach, i mówił do damy: „Szach królowej!"...

Persja!... Są różne Persje. Jest żółta, jest zielonkawa, jest i czerwona. A Salwador ma kolor jasno-błękitny. W samym środku Salwadoru jest wulkan i jedenaście śmiesznych, równiuteńkich gwiazd. Liczyłem. Wulkan dymi bez przerwy, jak Wezuwjusz na tem pudełku u babci.

Meksyk ma orła z wężem a Guatemala papugę. Na Sudanie jest wielbłąd, na Borneo goryl, na Japonji słońce. Na trójkątnem Haiti rośnie palma, a na Oranji drzewo pomarańczowe. Na Cejlonie zamiast herbaty królowa Wiktorja. Musi być strasznie bogata. Ale niesympatyczna i znudzona. I przypomina damę pik, tylko starsza. Wolę już królowę holenderską, chociaż także monstrum. A babcia mówi, że w życiu, naprawdę, jest z wszelką pewnością jeszcze brzydsza, tylko ją naumyślnie upiększyli na markach.

Ale ta Wiktorja siedzi wszędzie. Na wielkiej Brytanji, na Indjach angielskich, na Hongkongu, na kraju Somali, na świętej Helenie, na Sierra Leone. Wszędzie. W Europie, Azji, Afryce... Jakby jej mało było tego wszystkiego, teraz jest już i na Transwalu. Bo Transwal upadł, choć go bronił ten dzielny chłopiec, Pieter Maritz. Bolek dostał tę książkę jako nagrodę przy końcu roku szkolnego. Niby za pilność, ale nigdy nie widziałem, aby się uczył. Janek także się nie uczy. Obaj mówią, że wszystko umieją i że się obejdą bez nauki w domu. Chyba od czasu do czasu jakieś tam zadanie. I nigdy inaczej nie mówią, tylko „głupie zadanie". Są z niem gotowi za kwadrans, ale mi nie chcą pokazać, mówiąc, że dla mnie to za mądre.

Otóż na Transwalu do niedawna jeszcze była tarcza z kotwicą w środku, dookoła chorągwie i orzeł nad tem wszystkiem. A teraz jest królowa Wiktorja w niezgrabnej koronie. Ale tam, w Transwalu, wydobywają złoto i diamenty, więc pewnie każe sobie zrobić drugą koronę, żeby miała na zmianę.

Jak taka królowa Wiktorja daje sobie rady z tem wszystkiem? I, że jej wszyscy słuchają?! Biali, murzyni, żółci, nawet hindusi... Pewnie, muszą słuchać, ale się tego napewno wstydzą. U nas, w Polsce, rządzili tylko mężczyźni. Z wyjątkiem królowej Jadwigi. A i to bardzo krótko. Chodzę do niej dosyć często. Jest z białego marmuru i wygląda zupełnie jakby spała. Czasem ktoś położy jej w nogach kwiaty, ale ona nie drgnie nawet. Królowa Jadwiga jest po prawej ręce, jak się wchodzi do katedry, zaraz za grobami królewskiemi.

Marek polskich niema wcale. My używamy austrjackich, które się jednak wyrzuca, bo jest ich jak śmieci. Chyba jeszcze możnaby je zbierać na wykup Chińczyków czy murzynów z niewoli, ale to się nie opłaci napewno. Janek i Bolek nawet składali specjalnie te marki, chcąc koniecznie wykupić jakiegoś murzyna, ochrzcić go i mieć na każde skinienie wiernego niewolnika. Wszystko miał za nich robić. Ale pokłócili się zaraz najpierw o imię tego niewolnika a potem o to, że Bolek chciał go mieć wyłącznie dla siebie. Więc skończyło się na niczem. I po dawnemu jest tylko Kasia.

A znowuż na listach, które babcia dostawała z Ukrainy, był car. Więc nasłuchałem się o rozbiorach i powstaniach. Zresztą teraz, już od jakiegoś roku te listy przestały przychodzić. Babcia jeszcze pisała cztery czy pięć razy, aż wreszcie przestała. Widocznie tam już nikogo niema.

Ze wszystkich jednak marek najpiękniejszy jest Przylądek Dobrej Nadziei. Ma kolor złoty i siedzi tam taka piękna pani w długiej sukni. Nogi oparła na kotwicy, głowę obróciła w lewą stronę, jakby stamtąd miał do niej ktoś przyjechać. Ona musi być tego pewna, bo uśmiecha się do siebie samej. Oglądałem ten przylądek na mapie. Leży na samym dole, niziutko. Niedaleko stamtąd, na prawo, widać Australję, która ma na swej marce białego łabędzia. Ten łabędź napewno płynie do pięknej pani z przylądka dobrej nadziei.

Australja jest na mapie cała różowa, Afryka w tem miejscu, u dołu, jasno żółta, a morze blado szafirowe. Po niem płynie z Australji ten biały łabędź do pani w złotej sukni. Ma jeszcze spory kawałek drogi przed sobą, ale przyjedzie napewno, napewno. Ona go nawet już widzi zdaleka, bo uśmiecha się coraz weselej, patrząc w stronę różowej Australji. Widocznie ma jakąś dobrą nadzieję...

WOŁANIE SOWY

Wszystko stało się okropnie prędko. Mama nie płakała wcale. Także i Bolek. Jeden jedyny Janek zapuchł od płaczu, a ja, choć chciałem płakać, jakoś niebardzo mogłem. Dopiero w dwa dni później, kiedy przez całe rano zostałem w domu sam, bo mama była na lekcjach, a Kasia poszła do miasta... Wtedy zacząłem płakać głośno, długo, długo, aż nagle przestałem, widząc, że mnie nikt nie słyszy. Cały dom przecież był pusty. Ale pełen jakichś kroków, szelestów, szeptów. Trzeszczała podłoga, firanka przy oknie chwiała się leciuteńko, jakby ją ktoś przed chwilą poruszył... A za mną, tuż za mną ktoś stał, bo słyszałem wyraźnie oddech. Nawet włosy od tego oddechu ruszały mi się na głowie. Więc zacząłem się bać pustego mieszkania, które szumiało jak muszla.

Kasia, jak zwykle zasiedziała się w mieście, choć jej mama kazała natychmiast wracać, a ja zostałem przy stole skurczony i nieruchomy, słuchając strasznej ciszy. Nie mogłem się ruszyć w żaden sposób. Nagle usłyszałem z drugiego pokoju moje imię. Nie myliłem się. Napewno. To było całkiem wyraźnie. Najpierw cicho, potem trochę głośniej i jeszcze głośniej... Wreszcie zamilkło. Bo nie chciałem się odezwać ani wstać. Serce mi biło i włosy znowuż wstawać zaczęły...

Potem w tej ciszy usłyszałem w drugim pokoju kroki. Lekki, wyraźny choć bardzo delikatny stuk prunelkowych trzewików. Zrobiło mi się zimno. Kroki szły jakby od okna, powoli, powoli... Potem przystanęły przy drzwiach prowadzących do tego pokoju, w którym ja siedziałem. Stały tak chwilę, a ja wstrzymałem oddech, czekając... Wtedy kroki zawróciły zwolna w stronę przedpokoju, drgnęła cichutko klamka i zaskrzypiały drzwi. Jeszcze usłyszałem, jak echo tych kroków uciekło z przedpokoju do sieni, potem na schody. I znowuż zrobiło się cicho.

Pani z portretu popatrzyła się na mnie raz i drugi, ale inaczej niż zwykle. Jakby z jakimś żalem. I przymknęła powieki. Zawstydziłem się i przecież wszedłem do drugiego pokoju. Fotel stał pod oknem jak zwykle, ale był pusty... Odwróciłem się ku drzwiom, które były lekko uchylone, jakby przed sekundą ktoś niemi wyszedł... Pobiegłem do przedpokoju, lecz tam już nikogo nie było. Więc chwyciłem za klamkę od drzwi, prowadzących na schody i zacząłem ją szarpać, targać ze wszystkich sił, szamotać się z nią. A w przedpokoju było zupełnie ciemno. Krzyknąłem na cały głos: Babciu!... Raz, drugi i trzeci... Nie odezwał się nikt i dopiero wtedy zrozumiałem, że babci niema.

Wiedziałem zaś, że choćbym wołał mamy, nie usłyszy mnie, bo jest na lekcjach, więc dałem spokój wołaniu i na palcach, cicho wróciłem do pokoju. Byłem sam, zupełnie sam.

Gdy Kasia przybiegła z miasta, spytała, czy bardzo się bałem. Powiedziałem, że nie.

Potem przyszli wszyscy na obiad i zapłakana Kasia podawała talerze, które schodziły nietknięte. Żaden z nas nie chciał patrzeć na mamę, bo wiedzieliśmy, co się z nią dzieje. Była jednak dziwnie spokojna i jakaś obca. Nigdy jej takiej nie widziałem. Nagle Janek pochylił się nad obrusem i zaczął płakać. Mama chciała coś powiedzieć i nie mogła. Wstała, wyszła do drugiego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Janek zanosił się od łez, aż wreszcie Bolek położył mu rękę na ramieniu i powiedział: Nie płaczże przy mamie! Czy nie rozumiesz?!...

Powiedział to stanowczo, ale cicho i tak delikatnie, jak nigdy nie mówił. Więc Janek spojrzał na niego i ze zdziwienia przestał odrazu płakać. Siedzieliśmy zupełnie cicho, ale widziałem, że Bolek o czemś myśli. Znalazł coś, bo wstał i zapukał do mamy. Po chwili wyszedł stamtąd i zabrał się do swoich książek.

Kasia zebrała ze stołu i spytała, czy pójdziemy na spacer, ale nikt jej nie odpowiedział. W kącie leżały papierowe lokomotywy, szyny, zwrotnice, budynki stacyjne, wagony osobowe, towarowe. I ten wagon, na który babcia za nic nie chciała patrzeć...

Wieczór był jeszcze gorszy. Poszedłem na chwilę do kuchni, ale tam siedziała stróżka z dołu, wdowa, której mąż zwarjował. Po zapaleniu płuc. Mówiła, że już w niedzielę słyszała na strychu krzyk sowy. Pod samym dachem świeciła para sowich okropnych oczu. Wołała kogoś. A sowa zawsze wywoła. To jej wołanie ze strychu powtarzało się co wieczór, aż do przedwczoraj. A stróżka wcale spać nie mogła. Bo tak samo na kilka dni przedtem, jak jej męża zabrała buda, wyła ta sowa. Sowa to jest nieszczęście. I zawsze, za każdym razem, jak tylko sowa zapłacze na strychu, to ktoś...

(D. c. n.)

ZAGRANICĄ

Hrabia Sforza o dyktatorze Piłsudskim

W trzech językach, angielskim, francuskim i niemieckim, ukazała się prawie równocześnie książka hr. Sforzy o „Budowniczych nowej Europy" *(Les Batisseurs de l'Europe Moderne,* Paris, Gallimard), zawierająca portrety władców, ministrów, mężów stanu i wodzów. Obszerny ten tom zaledwie został wydany i niewątpliwie wywoła żywy oddźwięk w publicystyce europejskiej, wydanie angielskie już zresztą gęsto jest omawiane. Na tem miejscu zdajemy sprawę z jednego tylko rozdziału „Budowniczych", noszącego tytuł „Piłsudski, dyktator anachroniczny", pomieszczonego w części, poświęconej „dyktatorom" (Mustafa Kemal, Piłsudski, Juan-Szi-Kaj, Sun-Jat-sen). Rozdział ten zasługuje na uwagę, choćby dlatego, że można się zeń przekonać, jak trzeba pisać bez znajomości rzeczy, bez zrozumienia ludzi, bez porządnego przemyślenia tematu, a mimo to nie tracić miny „historyka" i dyplomaty, który w swojej karjerze miał okazję do decydowania w ważnych i zawiłych sprawach politycznych. — Sądy hr. Sforzy dadzą się streścić w sposób następujący:

Kto to jest Piłsudski?, przedtem jednak — co to jest Polska dzisiejsza? Jest to ta sama Polska, która była przed rozbiorami. Tamta zaś Polska składała się z leniwej i pozbawionej zmysłu rzeczywistości szlachty, ponadto z *liberum veto,* zbrojnych konfederacyj i dewizy „Polska nierządem stoi". Po rozbiorach treść ta uzupełniła się rewoltami i marzeniami *(de révoltes, de rêves).* Po wojnie światowej Polacy narazili się hrabiemu Sforzy natarczywością, z jaką u rządów europejskich domagali się odbudowania Polski i nadania jej szerokich, bo nawet historycznych granic. „Dyplomacja europejska tak dalece się irytowała temi rosnącemi stale pretensjami, że gdyby wszystko zależało od Lloyd-George'a, asystowalibyśmy prawdopodobnie przy czwartym rozbiorze".

Na takiem tle należy umieścić Piłsudskiego. W czasie wojny stworzył on z niczego legjony — przyznaje hrabia. Armja szła za nim, zwolennicy jego gotowi byli na wszystko. Ale, podobnie jak on sam, „byli posłuszni — nieświadomie być może — starym prawom, odziedziczonym po dziejach polskich". Ponieważ trudno jest udowodnić, że Piłsudski wskrzesił liberum veto, zbrojne konfederacje na sejmach, oraz że wprowadził do konstytucji artykuł „Polska nierządem stoi" — więc hr. Sforza tego nie udowadnia. Wystarcza mu, gdy stwierdzi, że „Piłsudski pochodzi z dobrej, starej drobnej szlachty, która zaznała sławy wojennej, i którą historja Polski pokazuje nam na tuziny". Rzecz prosta, że jako szlachcic polski nie może być Piłsudski ani porządnym socjalistą, ani demokratą — w dodatku w kraju, w którym j e d y n y m i d e a ł e m średnich klas ultra-nacjonalistycznych jest „stosowanie względem 11 miljonów nie-Polaków, objętych granicami odrodzonej republiki, tego samego systemu, który Rosja carska stosowała wobec Polaków" (str. 367). Nie jest więc Piłsudski socjalistą, ba, kiedyś nawet powiedział, że woli dla Polski kilka karabinów maszynowych, niż całą górę egzemplarzy „Kapitału". Było to oczywiście przed wojną. W tem też się przejawia jego szlacheckość polska, jak i przynależność do kasty, „nienawidzącej klas, które nie urodziły się do szabli". Jest dalej marszałek romantykiem, bo Polacy zawsze byli romantykami. Zresztą w myśl fanaberyj romantycznych posiada Polska granice z Rosją, „wżerające się głęboko w żywe ciało Rosji". Najlepiej poza tem charakteryzuje Piłsudskiego popularna wśród jego otoczenia, nazwa „starszy pan". Jest to też zjawisko tradycyjnie polskie, zrozumiałe dla tych, „którzy widzieli na wsi w Polsce *starszego pana,* jak laską zagraża swojemu rządcy, gdy temu nie uda się uzyskać nowych pożyczek na hipotekę majątku, zbyt już przez pana obciążoną". Taki właśnie jest Piłsudski — „wcielenie tej starej Polski romantycznej, don-kiszockiej, głuchej na sprawy materjalne" *(dédaigneuse de toute considération materielle).*

Hr. Sforza, jak wynika z tekstu, był w Polsce, co świadczy o nim jak najgorzej. Gdyby tu nie był, możnaby mu wybaczyć wiele, a przy naszej pobłażliwości — nawet wszystko. Skoro jednak był, godzi się go zapytać, jaki rządca wiejski obciążył mu jego hipotekę myślenia politycznego tak wielkim balastem głupstwa, które w połączeniu ze złą wolą i szczupłym zasobem wiedzy historycznej o Polsce złożyło się na szkic o Piłsudskim. Przecież ten jeden rozdział „Budowniczych" przekonywa nas wymownie, jak mądrze postąpił rząd włoski, że tak wybitnego dyplomatę nie zrobił delegatem w Wersalu (nie bez cichej goryczy wspomina o tem hrabia we wstępie do swojego dzieła), no i że Mussolini, objąwszy władzę, co prędzej podziękował Sforzy za ambasadorstwo w Paryżu. Oczywiście nie uszło to Mussoliniemu bezkarnie. Jest i jego portret w książce hrabiego Sforzy, ongiś ministra i ambasadora, dziś dyplomaty „na wygnaniu" i historjozofa, który z melancholją przeżywa „tragedję powojennych mężów stanu" — „ludzi rzuconych w nowy świat, ale myślących ideami minionemi *(surpassées)* i czujących staremi namiętnościami" (str. 12—13). Zaprawdę, w tem sęk: i Polska i Piłsudski — to już świat nowych idej i nowych namiętności. Włochy Mussoliniego także.

Rewolucja w Portugalji

W Portugalji wybuchła rewolucja, której głównym ośrodkiem jest tym razem wyspa Madera i jej stolica Funchal. Rewolucjoniści występują przeciw prezydentowi Carmon'ie. Fotografja przedstawia oddział wojsk rządowych, wsiadający na okręt i wysyłany na Maderę. Wojsko stłumi bunt, o ile nie przyłączy się do rewolucjonistów

Rąbek tanecznicy

To, co się wydarzyło z wyjazdem polskiej delegacji przemysłowej do Rosji, jest więcej niż nieporozumieniem. Jest mianowicie czemś wręcz zabawnem. I jeżeli salonka delegacji, po uspokojeniu nerwów polskiego przemysłu, dojedzie wreszcie do Moskwy, reprezentanci nasi nie powinni się zdziwić, gdy w rosyjskich pismach humorystycznych przeczytają jakąś złośliwość na temat swojej wyprawy. Trudno doprawdy taić z racji tej historji i zdziwienie i ironję. Mówmy poważnie: delegacja opuściła wagon na parę minut przed odejściem pociągu, ponieważ w jednym z dzienników ukazała się depesza z Rygi o tem, że sowiecki komisarjat handlowy ogłosił nieprzychylny dla niej komunikat. Nie przyszło nikomu na myśl, że oficjalny komunikat rządu sowieckiego musiałby być znany poselstwu polskiemu w Moskwie, a więc i naszemu min. spraw zagr. Jakoś smutno się robi na duszy na myśl, że nareszcie nasz przemysł zdecydował się zobaczyć, co się dzieje u sąsiada, po wielu latach, gdy już wszystkie możliwe delegacje świata zobaczyły, co zobaczyć należy w Rosji i co w niej można zarobić, a my (najlepsi — o ironjo! — znawcy stosunków rosyjskich) potknęliśmy się o stopnie wagonu, jadącego do Moskwy, niczem tanecznica o własny rąbek. Jak trudno bywa czasem umieć się w porę obrazić...

Restauracja Europy

Briand, jako usłużny restaurator do Germanji, połykającej Austrję: „Po tak obfitem jedzeniu przydadzą się pani wykałaczki" (Echo de Paris)

Anschluss, pieniądze i zboże

Dla nikogo nie jest dziś dziwne, że w okresie, gdy zagadnienia ekonomiczne dominują nad innemi, obroty zbożem mają znaczny wpływ „sur le cours de la politique pure". Ale jednak ostatnie przykłady na poparcie tej tezy są naprawdę zadziwiające.

Nie jest tajemnicą, że francuski minister spraw zagranicznych, p. Briand, został zaskoczony projektem Anschlussu. Obaj ambasadorzy francuscy, w Berlinie i w Wiedniu, nie popisali się. Nieświadomość ich była tak zupełna, że poseł francuski w Wiedniu, hr. Clauzel, wyjeżdżał sobie najspokojniej z Wiednia na urlop do Paryża w chwili, gdy p. Curtius do Wiednia wjeżdżał.

Ale p. Briand zbyt długo „pracuje w polityce", by się nie otrząsnąć po niespodziance i nie naprawić gafy swych ambasadorów. Momentalnie pomieszał szyki Niemcom przez uzyskanie od Anglji zgody na poprzednie rozpatrzenie strony prawnej Anschlussu przez Ligę Narodów, następnie postarał się o opóźnienie wizyty pp. Brueninga i Curtiusa w Londynie i konferencji w Chequers i przesunięcie terminu konferencji z maja na czerwiec, kiedy już będzie po targach genewskich.

Zyskawszy w ten sposób na czasie, p. Briand przystępuje do strony merytorycznej Anschlussu. Wobec wakacyj parlamentarnych, zjawiły się u niego delegacje izby deputowanych i senatu, dając mu w imieniu parlamentu pełnomocnictwa, które pozwolą mu na paraliżowanie manewrów niemieckich. Podobne pełnomocnictwa otrzymał p. Briand również od rządu.

I oto będziemy obecnie świadkami ciekawej walki pieniędzy francuskich z polityką niemiecką. Uzbrojony w pełnomocnictwa, p. Briand zacznie operować w Europie środkowej pieniędzmi i sądzi, że uda mu się stworzyć przeciwwagę wpływów niemieckich. Francja jest już dziś takim samym bankierem świata, jakim była przed wielką wojną. Bardzo wiele państw, nie wyłączając Niemiec, ubiega się o pożyczki w Paryżu. Niemcy szczególnie, stale korzystają ze znacznego pokrycia francuskiego swych operacyj na giełdzie paryskiej.

Otóż odtąd pieniądze obywateli francuskich popłyną tylko tam, gdzie tego będzie wymagać interes Francji. Dla Niemiec, upierających się przy Anschlussie, dla Austrji, dla ciążących ku Mitteleuropie Węgier, — francuski rynek pieniężny zostanie zamknięty. Frank może się stać w rękach p. Brianda bronią bardzo skuteczną.

A dalej? Węgry. Co Węgry może przyciągać do Mitteleuropy według recepty berlińskiej? Perspektywa zbytu w Niemczech zboża, na które dziś brak nabywców. Otóż p. Briand i w tym względzie otrzymał pewne pełnomocnictwa. Francja cierpi na stały deficyt zbożowy, który w tym roku wynosi około 20 miljonów kwintali. Jednakże zakupami zboża dla Francji zagranicą kierować będzie odtąd nie minister rolnictwa, lecz minister spraw zagranicznych. Kupi je nawet w Budapeszcie, i kupować je tam będzie stale, jeśli odsuną się od Niemiec.

Wszystko do jednego celu. Pieniądz jest potęgą. Dlaczego sentencja ta nie miałaby przejść próby ognia w tyglu p. Brianda? Może dać lepsze rezultaty, aniżeli polityka czysta.

Przekonamy się o tem już wkrótce.

JULJUSZ WIRSKI

PŁOT

Przechodząc na ulicę klasztorną mijał stary, chwiejny płot z poprzecznych desek, wygięty i poplamiony zieloną pastą wilgoci. Nawet kamienny bruk, idący tu półkolem przerastał gęsto trawą:—rzadkie były kroki przechodniów. Poza walącą się ruderą był sad zapuszczony, pozbawiony prawie drzew, zato gęsto zarosły zielskiem i soczystą trawą. Płynęła stamtąd wilgoć, pachnąca zdrową zielenią i ziemią. Wszystko razem — zwykły zakątek prowincjonalnego miasta. Życie przysiadło tu w kucki i wegetując cicho udawało mnicha, odgrodzonego od świata.

Na Klasztornej pokój z firaneczkami i spadkowem łożem z jesionu. Poza tem blaszana umywalka oraz dwa i pół metra podłogi. Melancholijnie skrzypiał stolik, nakryty białą serwetą i chwiało się wiedeńskie krzesełko. Na ścianach pociągniętych różową farbą niepokoiły się szesnastolatki z gołąbkami i bez, a nawet jedna z narzeczonym w myśliwskim stroju z 18. wieku. Na to wszystko patrzała z nad łóżka Matka Boska Ostrobramska, oświetlona lampką oliwną.

Było to miłe i nietrudne po skłopotanym pośpiechu metropolji. Trochę raziło nudą i senną pustką, trochę czarowało zamierzchłem wspomnieniem dzieciństwa. Nawet odwiecznie te same zioła i kwiaty, w poszczerbionych wazonach z grubego szkła — wzruszały. Przypominały łąki z okresu, kiedy biegało się po nich boso.

Ten moment wybrania prowincjonalnego miasta na miejsce krótkiego odpoczynku był w życiu Jana wyjałowiony z pragnień, a nawet myśli. Tu, czy gdzieindziej było mu wszystko jedno. Nie pociągali go ludzie, ani przyroda, ani samo miasto. Raczej bezmyślny korowód dziewic z gołąbkami z drzeworytów odpowiadał próżni mózgu, a nawet serca. Inaczej mówiąc — przerwa. W życiu ludzi nadmiernie czynnych są to zjawiska równie konieczne, jak oddychanie i pokarm. Przerost myśli wymaga czasami bezmyślności, przerost uczucia — chwilowej oschłości serca.

Ale senny rytm małego miasta, a zwłaszcza monotonja jesiennych wieczorów uspasabiają psychikę największego odludka w ten sposób, że już po dwu tygodniach z ciekawością patrzy się w twarze prowincjonalnych nieznajomych, a po trzech zaczynają ci nieznajomi pociągać ku sobie z siłą nieprzepartą. Pierwotność i względna jednopłaszczyznowość tych ludzi wytwarza złudzenie, że zbliżywszy się do nich odetchniemy przeszłością.

Dlaczego przeszłość, znana z książek i opowiadań ma dla nas posmak poezji — niewiadomo. Czas odbarwia przecież nietylko plamy, ale i barwy. Jan w duchowem lenistwie odpoczywania pozwalał fantazji rozpętać się aż do przesłonięcia rzeczywistości. Nie wymieniając tu z nikim ani myśli, ani poglądów, pozwalał jednak swej nieuzasadnionej tęsknocie za prostotą wierzyć, że tu właśnie odnajdzie człowieka niezakłamanego. Narazie jednak nie czynił realnych kroków dla osiągnięcia celu. Patrzał na mijających go ludzi własnemi oczami — próżniaczej wyobraźni i banalnego sentymentu.

Tymczasem dni i wieczory, noce i świty. Pełznie czas równie senny, jak rytm ulic, jak bezład walącego się płotu, jak dorywcza zieleń owego kamieniami brukowanego półkola. I coraz dalej przesuwa się termin powrotu. Czasami tylko krótki, lakoniczny list. Poczem brunatny listonosz przynosi przekaz na skromną sumę. Znika zachodzony zwiastun złego, dobrego i nijakiego, a zostaje ten sam ślimaczy chód czasu, po mokrych flizach wązkiego chodnika.

Wreszcie Jan zrozumiał, że coś w nim przerwało się „w połowie taktu". Cały rozmach stołeczny, ogromna masa najnowszych zainteresowań, pytań, kwestyj — wszystko zwaliło się gdzieś w dół, jak niepotrzebny, a nawet dokuczliwy bagaż. Nawet gazety zaledwo przeglądał. Odsłoniła się zmęczonym oczom nowa prawda, banalne słowo o życiu bez głębokiego nurtu, które jednak może być dobre. Reszta, cała dotychczasowa bieganina myśli, cała gorączkowa krzątanina po szerokich magistralach postępu, cały pośpiech i wysiłek, aby nie pozwolić na wydarcie sobie rekordu pierwszeństwa, wszystko, czem żyje człowiek wielkiego miasta i świata przestało go nagle interesować, wraz z tą dziwaczną pasją do zagadnień społecznych.

Przełom, który nastąpił był aż nadto głęboki, aby go uważać za chwilowy odruch zmęczonych nerwów. „Czyżby odnalezienie samego siebie"? — myślał i dziwił się, dlaczego nie czuje lęku przed stanem, który piętnował i mieszał z błotem tam, w mieście. Ale lęku nie czuł, tylko wielki spokój, a nawet coś, jakby tępe, mieszczuchowskie zadowolenie. „W każdym z nas drzemie wegetujące bydle" — stwierdził pewnego wieczoru, kładąc się spać o wczesnej godzinie. „Bez dopingu cierpienia, niebezpieczeństwa, czy ambicji niema postępu" — mruczał sennie, czując, że nie ma nic przeciwko tym kilku tysiącom ludzi w sąsiednich domach, ukołysanych religją, ogryzkami prawd i echami stłumionego życia.

Ten wstęp do „nowego życia" byłby mocno zadługi, a nawet nudny, gdyby nie był konieczny. Jan sam rozumiał, że owa psychiczna przerwa, owo przepołowienie się na dwie odrębne egzystencje uniemożliwiło mu poznanie prowincjonalnego dramatu. I obojętnem jest, czy dramat powoduje człowiek głupi, zły, rozumny, czy święty. Dramat jest cierpieniem, którego korzeń wrasta w duszę ofiary. Można posunąć się dalej i odważyć się na twierdzenie, że tylko Bóg, gdyby istniał, mógłby oszczędzić bólu człowiekowi. Ale to już jest sprawą teologji, która jest nauką, chociaż bez wiedzy o przedmiocie badanym.

Więc z konieczności mijały dni i zlatywały, jak motyle — żałobniki, kawałki kalendarza. W leniwem zamyśleniu nie dostrzegł, że czas położył zaśliniony palec na pewnej środzie października oraz imieniu, które nosił pan domu. Dopiero wieczorna krzątanina przypomniała mu dawno zapowiadaną uroczystość i własną obietnicę, że „owszem, bardzo chętnie"... Wyrwany z odrętwienia szybko udał się na miasto po imieninowy drobiazg. Jeszcze prędzej powrócił, mijając nie bez życzliwości, wygięty, stary płot na rogu. Gorączkowo, nawet z pewną tremą ubierał się w smoking, ciekaw tych ludzi i pewien, że przy nieodstępnym kieliszku w ciągu kilkugodzin odkryje to, czego nie dojrzał przez tygodnie zewnętrznej obserwacji.

Więc imieniny. Pan domu w staromodnym surducie witał gości na progu. Pani domu, osoba czterdziestoletnia, kierowała dokooptowaną od sąsiadów służbą. Dwóch chłopców, w źle skrojonych, ciemnych marynarkach niezręcznie snuło się po pokojach, usiłując wyręczać ojca. Ich głupkowate uśmiechy i sztywne ruchy nie raziły Jana, ale życzliwie śmieszyły. Poza tem córka domu, niebrzydka blondynka, poufale serdeczna z paniami. Panna Zofja była w Warszawie na kursach pedagogicznych, przywiozła stamtąd ku chwale rodziny doskonałe świadectwo i ku zmartwieniu miejscowej młodzieży postępowe poglądy, utrudniające jej zamążpójście. Mówiono w największej tajemnicy i tylko najlepszym przyjaciołom, że panieństwo panny Zofji złożone zostało na ołtarzu tegoż postępu w Warszawie, przyczem wolną miłość celebrował pewien medyk, stale przyjeżdżający do miasta. Jan stwierdził, że była to zemsta odpalonych konkurentów, względnie mściwa domyślność. Panienka była pełna prostoty i duchowej czystości. Medyk był nieoficjalnym narzeczonym w tajemnicy przed rodzicami, którym nie opowiadał początkujący lekarz bez praktyki. Jej oczy, usta, ręce, a nawet głos miały głęboką nutę prawości, melodję prostego piękna duszy, która nie zaznała brudu. Jan stwierdził ponadto, że panna nie marzy o Warszawie, ale pragnie po ślubie osiąść z mężem w miasteczku i pracować dla swoich. Nie było to wielką ofiarą ale świadczyło o pewnej głębi serca.

Schodzili się powoli bliscy i dalsi znajomi, jednakowo serdecznie witani. Towarzystwo mieszane. Poza kilku urzędnikami był również nieodstępny sędzia z żoną i komendant straży,—stary kawaler, i właściciel cukierni z rynku, który przysłał imieninowy tort. Korowód gości zamykał podkomisarz policji, bardzo szarmancki, bardzo wygalowany i mocno liberalizujący, jako warszawiak.

Jan stwierdził przy stole, że towarzystwo jest miłe.

Panie zwłaszcza miały dużo godności i taktu w rozmowach. Gorzej było z urodą — poza panną Zofją nie było ani jednej ciekawszej twarzy. Przyjęcie jak zwykle: gorąca kolacja i trunki. Kordjalnie wznoszono toasty, nie szczędząc słuchaczom improwizowanych rymów. Atmosfera „podgrzewała się", ale nic nie wskazywało na obnażenie prawdy o prowincjonalnym człowieku. Tyle tylko, że przez wzgląd na Jana panowie przez kwadrans mówili o polityce, panie o literaturze. Banalne, wyczytane w pismach stołecznych sądy nie raziły w tem otoczeniu, owszem interesowały i radowały. Nawet dziwiły. Panowie okazali dużo sympatji dla warszawskich „herezyj". To, co wydawało się pospolite i oklepane w stolicy, tu było świeże i posiągające, może dlatego, że nieoczekiwane.

Więc mijały godziny. Spokój niedmiennie towarzyszący Janowi od chwili przyjazdu nabrał akcentów stałych. Nie zakłóciła go nawet dziwaczna para, która zjawiła się pod koniec kolacji z naręczem kwiatów i cukrów, głośno przepraszając za spóźnienie.

Był to miejscowy starosta z żoną. Wysoki, doskonale zbudowany i odżywiony pan, bardzo męski, a tem samem „kobiecy". Ona drobna, szczupła, prawie dziewczynka... Wiosna życia i lato. Biła łuna dobranego szczęścia od tych dwojga. Tak się przynajmniej zdawało.

Kolacja się przedłużyła. Pomimo gorące protesty nowoprzybyłych, wrócił na stół zając i kotlety wieprzowe z kapustą. Napełniły się nalewkami karafki. Rozmowa podniosła się o ton wyżej i o dwa tony bardziej szarmancki stał się miejscowy podkomisarz. Starosta rozdawał uśmiechy, komplementy i toasty. Urzeczywistnił się sen Jana o prostocie ludzkiego współżycia. Ale po kolacji pierwszy alarm wytężonej uwagi. Starosta przy pannie pawiem chodzi i bażantem. Panna grzecznie, ale z zakłopotaniem. Coś, jakby wstyd w oczach, coś, jakby prośba o przebaczenie w kierunku ślicznej starościny, coś, jakby ironicznie - współczujące spojrzenia „publiczności". Jan nastawił się, jak wyżeł. Usiadł w rogu pokoju, w klubowym fotelu i paląc papierosy prowadził lekką rozmowę z sędzią. Jednocześnie obserwował. Sędzia zauważył i grzecznie wyjaśnił: — Ciekawa para. On pierwszorzędny działacz, ogromnie pożyteczny. Przytem nienasycony. Temperament, panie, zadziwiający... Teraz zakłada sieci na Zosię, ale nie uda mu się, — uprzedził go doktór.

Janowi zrobiło się przykro i lekko zmarszczył brwi. Sędzia niezwłocznie zmienił ton:

— Ona za to prawdziwie święta. Wzór naszych mężatek. Podobno szalenie go kocha i wszystko przebacza. Niech pan z nią porozmawia. Na wszystkie argumenty wasze nowomodne, odpowie: — sakrament! Nie dla-

tego, żeby powtarzała cudze przekonania, ale z głębokiej serdeczności.

— A on ją często poniewiera?

— Zaraz poniewiera. Chłop, jak pan widzi, przez Stwórcę niepokrzywdzony, a przytem nabożny do kobiet. Tu w okolicy niewiele jest, któreby nie przeszły przez jego ręce.

— Aha, — patrzał w oczy uprzejmego informatora i gryzł munsztuk papierosa, — ale potem, jak zamąż wyjdą, to sakrament murowany

— A tak...

— Ślicznie!

— Pan ironizuje, a ja panu powiem, że pan tych kobiet nie zna. Zwłaszcza pani Reny, żony starosty. Ona gotowa panu oświadczyć, że bardzo boleje nad postępkami męża, ale to ją nie upoważnia do pójścia w jego ślady. Chce pan z nią mówić?

— Narazie nie, zmęczony jestem. Zadużo piłem, — dziękował uprzejmie.

Ale właśnie rozpromieniony solenizant nastawił patefon. Zakołysała się melodja pół smutna, pół cyniczna. Tango. Majaczył w obłokach dymu szkarłat młodych warg. Sędzia poufale wziął Jana pod ramię i prowadził ku kanapie. Tam panie, pozornie niedbałe i zajęte rozmową. W rzadkich spojrzeniach na boki wyraźna przecież chęć tańca:

— Przyprowadzam pani warszawskiego dansera, — skłonił się sędzia staroście, sam po kilku zdawkowych komplementach skłonił się żonie jednego z podwładnych.

Jan spokojnie opłynął wzrokiem maleńką postać pani Reny. Grzecznie podał ramię. Idąc płynnym krokiem tańca stwierdził z zażenowaniem: — cudna! Wypite trunki, długa samotność, a przedewszystkiem ciekawość odmiennego kobiecego typu uderzyły do głowy. Tańczył w pachnącej mgle. Jednocześnie prawe ramię i dłoń wyczuwały świeżą, giętką i gibką, jak łodyga kwiatu, linję ciała. Bezbronne przechylenia, pełne miękkiego poddania ruchy, zamglone oczy, wielkie i jak błękit niezgłębione. Nie mówił nic. Tańczył z napółprzymkniętemi oczami, pozwalając sobie śnić na jawie, że zaraz pachnący obłok jej ciała podniesie do ust. W pewnej chwili drapieżnie-słodki obłęd jej kobiecości uderzył weń, jak ostrze śmierci. Zamknął oczy i zaciął do krwi wargi.

— Pan się źle czuje?

— Ocucił go złocisty promień słów. Spojrzał na nią z góry, jakby z żalem, że przerwała cud złudzenia. Zamieć płowych włosów pachniała wprost w rozszerzone nozdrza. Nie odpowiedział nic.

— Dziękuję panu. Patefon skończył obracać płytę i pani Rena powróciła na kanapę. Jan skłonił się tylko w milczeniu. Wzrokiem szukał fotela. „Zajęty, psiakrew", — zaklął. Niepostrzeżenie udał się do swego pokoju, upadł twarzą, wciągał nozdrzami wspomnienie zapachu. Rozkosz podświadoma, dzika nieomal mordercza targnęła ciałem.

II

Ocknął się późno z szalonym bólem głowy. Patrzały, jak zawsze ze ścian szesnastolatki i równo płonęła lampka oliwna pod obrazem. Przez okno wpadło żółte słońce, jesień i widać było czerwieniejące liście drzew. Leżał bez ruchu. Analiza wczorajszego wieczoru była krótka: niewyładowana energja, samotność, małomiasteczkowa nuda i wódka. A przecież spazm rozkoszy przenikał ciało raz za razem, i uporczywie wyświetlała pamięć słodką twarz *cudzej* kobiety.

Koło południa zastukał pan domu. Skarżył się przeciągle, że Jan zniknął nagle, na początku zabawy. Kazał przynieść syfon, cytryny i cukier. Aprobując ten niezawodny środek na pijaństwo, Jan nie bez drżenia słuchał: — ma lat dwadzieścia ośm, syna i uwielbienie dla Ibsena. Poza tem lubi kwiaty, dzieci i poezje. Czytała nawet Verlaine'a. W niedzielę (a był właśnie czwartek) są zaproszeni do starostwa. „Pan z nami" — kończył bezapelacyjnie, zapalając papieros.

Jan udał gwałtowne pragnienie, żeby pokryć nadmierną radość. Jednocześnie w duszy — pauza. Pozna ją bliżej, oceni i stłumi to, czego nie śmiał nazwać pożądaniem, a nie chciał — uczuciem. Zresztą za dwa tygodnie wyjedzie.

Przeprosił grzecznie pana, ubrał się i wyszedł na miasto. Droga szła koło płotu. Pochylony w stronę sadu odgradzał kamienną szarość ulicznego życia od soczystej zieleni. Jan długo chodził wąskiemi ulicami w głębokiej zadumie.

Z tej zadumy, drobnemi cyframi słów — pojęć, wybiegł bilans: — piętnaście tysięcy mieszkańców, w tem trzy czwarte półanalfabetów; ksiądz, doktór, sędzia, aptekarz i oficer — arystokracja umysłowa; również grupa urzędników, obywateli i kupców. Trochę nauczycielstwa, jeden księgarz. Razem zakonserwowana gmina miejska o jednolitych nawykach. A ona, — jedna i sama. Przytem żona dostojnika... Z tych rozważań wynikło krótkie mruknięcie: — jej cnota, to konieczność. Pozycja towarzyska! Ochłonął.

(Dok. nast.)

NOWOCZESNE PIELĘGNOWANIE URODY

Silny prąd postępu wiedzy lekarskiej znosi konsekwentnie dotychczasowe, mgliste, teoretyczne pojęcia, szary, pusty szablon dawnego lecznictwa a jednocześnie odsłania istotną treść przełomowej twórczości, zdobytej usilną pracą myślową oraz licznym szeregiem niezbitych niczem — doświadczeń. Rezultaty postępowego przełomu w różnych gałęziach medycyny nie mogły pozostać bez wpływu na lekarską kosmetykę. Runął bowiem szablon posługiwania się byle jakim uniwersalnym kosmetykiem, prysły przesądy i złudzenia, a na gruzach dawnych szkodliwych norm i praktyk zakwitła wiedza *o indywidualnem* pielęgnowaniu urody, preparatami lekarsko - kosmetycznemi, dostosowanemi do danych wymogów i wskazań. Niepodobna zatem w dobie prawdy, postępem ukształtowanej, opędzić się jednej przykrej myśli: dawania posłuchu dziś jeszcze profanom, którzy drogą pustych frazesów w ulotnych broszurkach dążą do wskrzeszenia dawnego bezmyślnego szablonu. Objaw ten nas nie dziwi, ale też zgoła nie zatrważa, uświadomienie bowiem ogółu inteligencji zatacza szybko coraz szersze kręgi do takiego już stopnia, iż samodzielnie odróżnia się cerę prawidłową od tłustej, suchej lub wiotczejącej i dostosowuje odpowiedni preparat jużto do zachowania po długie lata świeżego wyglądu, jużto — zwalczania wad urody. Przykłady wyjaśnią powyższe wywody. Dawniej posługiwano się do wszelkich właściwości cery jednym uniwersalnym pudrem, często — niestety — z zawartością tak szkodliwych metali, iż nietylko skóra ulegała zanikowi, lecz i zdrowie cierpiało. Nie rozumiano, że tłusta cera wymaga odtłuszczenia i przeobrażenia w prawidłową, co dla każdej innej właściwości byłoby zgubne. Dziś poszczycić się możemy odrębnemi, roślinnemi pudrami, dostosowanemi ściśle do indywidualnej właściwości cery. Mam na myśli znane powszechnie, wykwintne pudry z przepisu D-ra Lustra: higjeniczny dla tłustej cery i egzotyczny dla każdej innej właściwości. Pudry te, wyrabiane w 12 kolorach, łączą w sobie wszelkie zalety higjeny i estetyki. Metaliczne bowiem pudry zasklepiają szczelnie pory, utrudniają zatem wymianę gazów drogą skóry, a co gorsze — warunkują przedwczesne marszczenie się skóry, w następstwie zaniku włókien elastycznych.

Uniwersalny krem stał się dziś również w świetle nowoczesnej wiedzy przestarzałym zabytkiem. W ostatniej bowiem dobie przekonano się, iż do odbudowy komórek skóry potrzebne są składniki pobudzające jej gruczoły dokrewne, tudzież lipoidy, jako budulec. Sucha i wiotczejąca cera wymaga takich właśnie składników, a zawarte są w kremie „Oxa" D-ra Lustra. Prawidłowa skóra wymaga tylko stałego ożywiania naskórka, co osiąga się D-ra Lustra kremem „Mira". Krem znów „Ultrasol" stanowi środek ochronny dla uprawiających sporty, przed zmianami atmosferycznemi, a mężczyznom odda znakomite usługi łagodzące podczas i po goleniu.

Dr. med. J. Libański

REUMATYZM, ARTRETYZM, PODAGRĘ, ISCHIAS CHOROBY KOBIECE
LECZY SIĘ NAJSKUTECZNIEJ
W ZDROJOWISKU
INOWROCŁAW
Sezon od 1 kwietnia

Dział rozrywkowy

POD KIEROWNICTWEM M. CHOYNOWSKIEGO

108. UKRYTE SYLWETKI

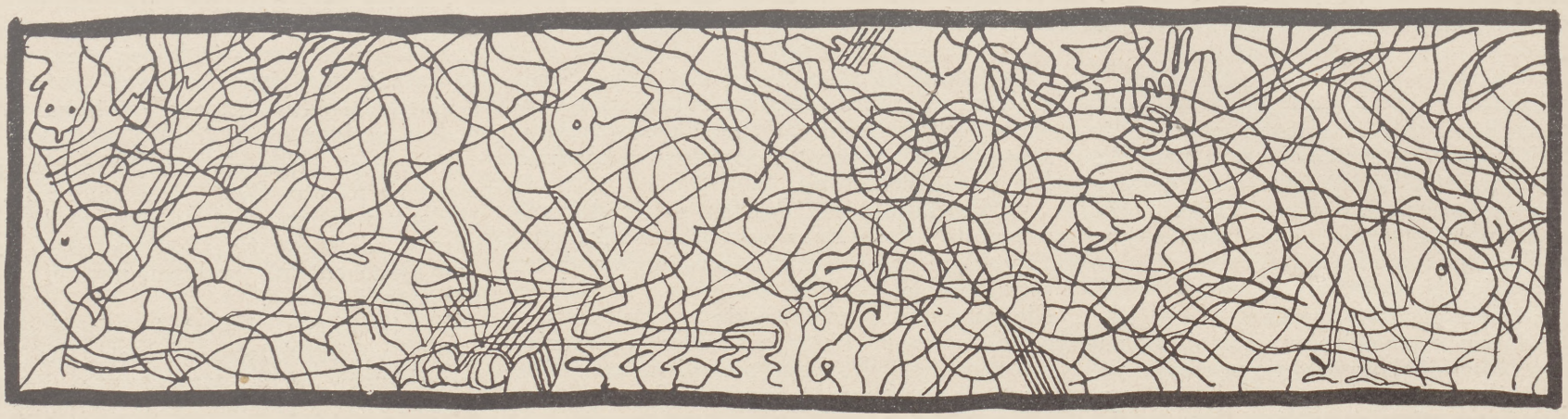

W powyższej gmatwaninie linij ukryte są sylwetki dziewięciu ptaków — proponujemy czytelnikom odnaleźć je i przerysować na kalce.

Za rozwiązanie zadania redakcja przeznacza do rozlosowania, 5 tomików *Monografij artystycznych.*

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie trzytygodniowym pod adresem *Redakcja „Tygodnika Illustrowanego", Warszawa, Zgoda 12. Dział rozrywkowy.* Każdy rozwiązujący winien podać swe imię i nazwisko oraz dokładny adres.

ODPOWIEDZI

(26). *Wszystkim czytelnikom,* który na ręce kierownika działu nadesłali życzenia świąteczne, składamy na tem miejscu serdeczne podziękowanie.

(Dalszy ciąg Działu Rozrywkowego obok na okładce)

ERNEST NEUMANN

WARSZAWA, TEL. 654-96. MAZOWIECKA 6.

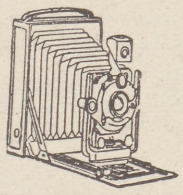

KAŻDY MOŻE FOTOGRAFOWAĆ!

Aparaty w cenach: Zł. 33.—, 45.—, 55.—, 78.—, 85.—, 105.—, 132.— i wyżej, tylko najprzedniejszych fabryk.

CENY FABRYCZNE. ŻYCZĄCYM NA SPŁATY.

Cennik z objaśnieniami i podręcznikiem fotogr. wysyłamy za zwrotem 50 gr. porta.

BEZPŁATNE 2½ tygodniowe **KURSY FOTOGRAFJI** dla początkujących

WYWOŁYWANIE I KOPJOWANIE KLISZ SZYBKO I STARANNIE

Solidność i fachowość, które stworzyły dobre imię naszej firmy, egzystującej przeszło ćwierć wieku, dają rękojmię dobrego kupna.

HEMOROIDY!

CZOPKI HEMOROIDALNE GĄSECKIEGO

„VARICOL"

(z KOGUTKIEM)

USUWAJĄ BÓL, KRWAWIENIE, SWĘDZENIE, PIECZENIE, ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI).

HEMOROIDY ZEWNĘTRZNE

(GUZY ZEWNĘTRZNE) NALEŻY LECZYĆ MAŚCIĄ Z PRZEPISU POPOWSKIEGO

— SPRZEDAJĄ APTEKI —

KAŻDY WYDAWCA, KUPIEC, PRZEMYSŁOWIEC, FACHOWIEC REKLAMY

znajdzie

CIEKAWY MATERJAŁ DOTYCZĄCY REKLAMY I OGŁOSZEŃ

W ZESZYCIE 3-cim MIESIĘCZNIKA

PRASA

Organie Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism

Objętość zeszytu 28 stronic. Cena 1 Zł.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach i u sprzedawców Tow. „Ruch" na większych dworcach kolejowych oraz w Administracji PRASY:

Warszawa, Krakowskie Przedmieście Nr. 40 m. 11, tel. 540-00

Konto P. K. O. 18.606

PRZYBORY PODRÓŻNE
GALANTERJA SKÓRZANA
J. KUCZMIEROWSKI
108 MARSZAŁKOWSKA 108

Stanisław Węgierski

MARSZAŁKOWSKA 64 TEL. 8.60-91.

POLECA

Ostatnie Nowości

jedwabie

wełny

bawełny

OSTRZEŻENIE! Chcąc nabyć proszki naszego wyrobu, należy przy kupnie **akcentować** i wyraźnie żądać **oryginalnych** proszków z **„Kogutkiem"** Gąseckiego, znanych od lat trzydziestu. Zwracajcie uwagę i odrzucajcie **uporczywie polecane** naśladownictwa w łudząco podobnem do naszego opakowaniu. Najlepiej żądać proszków **„KOGUTEK-MIGRENO-NERVOSIN"** w naszem **oryginalnem** opakowaniu po 5 sztuk w pudełeczku. Cena 75 gr. **Osoby, dla których przyjęcie proszka sprawia pewną trudność, mogą przyjmować proszek „KOGUTEK-MIGRENO-NERVOSIN"** w formie tabletki. (2 tabletki odpowiadają jednemu proszkowi). Opakowanie po 20 tabletek 1 zł. 50 gr. Żądać tabletek **„KOGUTEK-MIGRENO-NERVOSIN" w oryginalnem opakowaniu GĄSECKIEGO.**

ZABURZENIA w TRAWIENIU PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNĄ OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ - **SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA** (z KOGUTKIEM). SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE - GŁÓWNY SKŁAD. APTEKA A. GĄSECKIEGO. w WARSZAWIE, UL. FRETA 16.

Pamiętajcie o Flocie Narodowej!

Redaktor: Wacław Gebethner Klisze i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa. *Wydawcy: Gebethner i Wolff*

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z N-RU 8 »TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO«

82. ZEGARY PANA PĘTELKI

Wszystkie trzy zegary będą znów wskazywać dokładny czas po 120 dobach, czyli 22 grudnia następnego roku.

83. KRĄG MIAST

Za dajdłuższy uznaliśmy łańcuch nadesłany przez p. *Franciszka Bekielewskiego* z Suwałk, który podajemy poniżej:

Ostróg — Golub — Biłgoraj — Jedwabne — Ejszyszki — Iłża — Annopol — Lubliniec — Chodzież — Żnin — Nowogródek — Kampinos — Sambor — Ryczywół — Łańcut — Tarnogród — Dobrotwór — Roś — Śrem — Małogoszcz — Zamość — Ćmielów — Wilno (23 nazwy).

25-ciomiastowy krąg p. *Józefa Łebkowskiego*, 24-romiastowe kręgi pp.: *Józefa Menzla, Stanisławy Pretkielowej* i *Jerzego Tyblewskiego* oraz 23-miastowy krąg p. *Aliny Dowgirdowej* aczkolwiek dłuższe, jednak zostały zdyskwalifikowane za użycie między innemi nazw wsi.

84. STELA EGIPSKA

Tekst staroegipskiego napisu brzmi: *Cudzoziemcze! Tu w cieniu palm Ramzes I chodził sypiać po obiedzie.*

85. PODZIAŁ ŁĄKI

Rozwiązanie wskazuje rysunek.

Rozwiązania nadesłało ogółem 147 osób, których spis podajemy poniżej. Liczby w nawiasach oznaczają ilość rozwiązanych bezbłędnie zadań.

Hull (Anglja): Abłamowicz Helena (2).
Lublana (Jugosławja): Widra Romek (2).
Tallin (Estonja): Włodkowiczowa Marja (3).
Biała Podlaska: Medwecka Marja (4), Medwecki Józef (4). *Białystok:* Jaroszowa Leokadja (4). *Bielsko:* Niziołek Józef (4). *Bielszowice:* Niesporek Franciszek (2). *Borsuki:* Pruszyńska Jadwiga (3). *Borysław:* Psarska Zofja (4). *Brześć n/Bugiem:* Jaczynowska Halina (4). *Brzeziny:* Massajada Jan (4). *Bydgoszcz:* Feltynowski Antoni (4).
Chełm Lubelski: Lechnicka Zofja (4). *Chrzanów:* inż. Tolkemit Karol (4). *Cieszyn:* Izworski Mieczysław (4), inż. Krudysz Jan (3).
Dobrzelin: Kwiekowa Jadwiga (4). *Drohobycz:* inż. Kasiński Bronisław (4). *Dziedzice:* Mrózek Franciszek (3). *Dzisna:* prof. Mołczanow Michał (4).
Głębokie: Frucht Aleksander (1), Ginko Jan (1).
Hancewicze: dr. Michajłow Bazyli (4).
Jabłonna-Gucin: Broszkowski Stanisław (4). *Jadów:* Wiśniewska St. (3). *Janów Lubelski:* „Ewunia" (1).
Katowice: Krautler Henryk (2), Kuligowa Ada (4). *Kielce:* Bielecki Władysław (3), *Koło:* Jankowski Leon (4), Kozłowska Lubomira (4), Mrożewski Leonard (4). *Kraków:* Paszyński Lucjan (4), Racławicki Stanisław (3), Tilles Bronisław (2).
Landwarów: Jaski R. (4). *Limanowa:* Chrapkiewicz M. J. (3), Mordawski Seweryn (3). *Lublin:* Polichowa Zofja (3), Wilanowicz Władysław (4). *Lwów:* Gnoińska Janina (2), inż. Korzeniewicz Jan (4), Szajner Roman (4).
Łagiewniki: Fogt Jerzy (1). *Łęczyca:* Chrobot Stanisław (2). *Łowicz:* „Marek" (4). *Łódź:* Badzianówna Apolonja (1), Menzel Józef (4), Millerówna Teodora (4), Stolarski Józef (4), Wojtaszek Władysław (4). *Łuck:* Peretiatkowicz Marja (1).

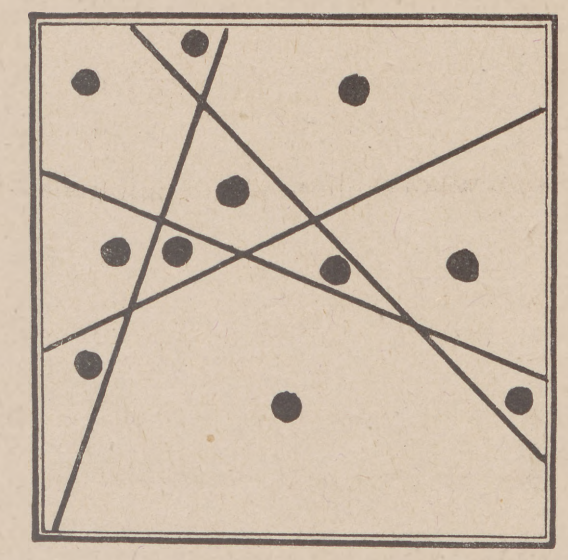

Majdan: Breitenwaldowa Janina (3). *Mielec:* prof. Kawa Władysław (4). *Modlin:* kpt. Jabłoński Mieczysław (2), Jarmulski Edmund (4), Jarmulski Saturnin (4).
Nowemiasto: Spanili Mieczysław (4).
Ołyka: Kotowicz-Eysymontowa Marja (3). *Opatów Kielecki:* Zuchmantowicz Marjan (3). *Ostrowiec Kielecki:* Makarewicz Henryk (4), Pauli Zofja (3). *Ostrowlany:* Jania Jan (3). *Ostrów:* Halotowa Zofja (3).
Pińczów: Janczur Antoni (1). *Polanka-Karol:* Nieniewska Janina (3). *Poraj k/Częstochowy:* Żuchowski Józef (1). *Poznań:* Adamanis Franciszek (3). *Przecław:* Wojtaszek Zdzisław (4). *Przeworsk:* Skarzyński Józef (1). *Pustelnik:* Korcz Józef (2). *Pułtusk:* Jaworski Stefan (4).
Radom: Stępień Jan (2). *Rembertów:* Sternicki Piotr (3). *Rożyszcze:* Sobieski Antoni (4).
Sambor: Maćkowski Jan (2), Piątkowska Walerja (1). *Siedlce:* Swinarski Hipolit (3), ppor. Włodarski Stanisław (3). *Skierniewice:* Wysocki Wacław (1). *Sokolin:* Zamojska Zofja (4). *Sosnowiec:* Tajtelbaum Stefan (1). *Stanisławów:* Chojecka Zofja (4). *Stare Haby:* Waśkiewicz Franciszek (0). *Suwałki:* chor. Bekielewski Franciszek (3).
Tuliszków: Bieluszko Jan (3).
Wadowice: Ryndak Jan (2). *Warszawa:* Arkuszewski Stanisław (3), Ber Wiktor (4), Birkholc Karol (3), Bochiński Jan (4), Bolesławski Edward (2), Borkowski Henryk (3), Brandtowa Janina (2), Cacek Mieczysław (4), Chmielewska J. (2), Chodkowska Zofja (3), Chojnacki Eugenjusz (4), Dietrichowa Stanisława (3), Dowgirdowa Alina (4), Figlarowicz Zbigniew (4), Frydland Kalaman (3), Gil Czesław (3), Górski Cezary (4), Guttry Krzysztof (2), mjr. Grodzicki (3), Jasiński Ziemowit (3), Kołodko Włodzimierz (4), Kopytowska E. (4), Łebkowski Jerzy (4), Łebkowski Józef (4), Manterysówna Irena (2), Mieszkowska Anna (3), Nowakowski Stanisław (1), Nowicki Witold (2), Olszewski Eugenjusz (4), Ostaszewski Jan (4), Pałasińska Czesława (4), Polakowski Aleksander (2), Pretkielowa Stanisława (3), Sienkiewicz Halina (3), Skonieczny Tadeusz (2), Szepke Edmund (4), Szymborski Stanisław (4), Tietz Zygmunt (2), Tomaszewski Wiesław (2), Tyblewski Jerzy (4), Tyblewski Roman (3), Wenda Janusz (4), Wiśniewski Jan (1), Zakrzewski Stefan (4), Żak Romuald (3), Żerański Ludwik (3). *Wejherowo:* Rydz Leon (4). *Wieliczka:* Chwalibogowski Witold (3). *Wilno:* Domański Bronisław (3), Hajkowicz Gustaw (4), Kawecki Aleksander (3), Kwiatkowska Zofja (3), Safarewiczowa Janina (3), Tacitus Eli (4). *Włochy:* Mierkowski Leon (3). *Włocławek:* Wojtczak Teofil (4).
Zawiercie: inż. Kaźmierczak Stanisław (4).

Nagrody otrzymują następujące osoby:

Zad. 81. „Pograniczne ogniska" J. Maciejewskiego — *Henryk Borkowski* z Warszawy.

Zad. 83. „Państewko" K. Leczyckiego — chor. *Franciszek Bekielewski* z Suwałk.

Zad. 84. „Amerykanka" Z. Kisielewskiego — inż. *Jan Krudysz* z Cieszyna.

Zad. 85. „Narkotyk gór" R. Malczewskiego — *Romek Widra* z Lublany.

Nagrody wysyłamy pocztą w terminie trzytygodniowym.

Dokończenie Działu Rozrywkowego ze str. 318

REFORMACKIE PIGUŁKI z MARKĄ „ZAKONNIK" ZNANE OD 1602 r.

regulują żołądek, chronią od reumatyzmu, cierpień wątroby, nadmiernej otyłości, artretyzmu, uderzeń krwi do głowy, uśmierzają hemoroidy, czyszczą krew i przy skłonnościach do obstrukcji są łagodnym środkiem przeczyszczającym. Użycie 2 pig. na noc.

Cena pud. zł. 1.35 wyrobu apteki

KARCZEWSKI-TUSZYŃSKI, WARSZAWA, UL. TRĘBACKA 4

ŻĄDAĆ z „ZAKONNIKIEM"

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO"

W WARSZAWIE:

„Tygodnik Illustr." wraz z „Bibljoteką" oraz miesięcznikiem „Naokoło Świata" miesięcznie . . . 9 zł. — gr.
Z odnoszeniem do domu . . . . . 9 zł. 50 gr.

POZA WARSZAWĄ (z przesyłką):

miesięcznie . . . 9 zł. 50 gr.
kwartalnie . . . . . 27 zł. 50 gr.
półrocznie . . . . . 54 zł. — gr.
rocznie . . . 106 zł — gr.

ZAGRANICĄ (z przesyłką):

miesięcznie 11 zł. 50 gr. półrocznie 65 zł. — gr.
kwartalnie 33 zł. — gr. rocznie 128 zł. — gr.
ZMIANA ADRESU . . . . . 50 gr.
KONTO POCZTOW. KASY OSZCZĘDN. Nr. 143

TELEF. REDAKCJI: 604-14; ADMINISTR.: 722-14; EKSPEDYCJI: 704-32; DZ. OGŁOSZEŃ: 697-26. — RĘKOPISÓW NIEZAMÓWIONYCH REDAKCJA NIE ZWRACA.

AGENTURY „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO".

GDAŃSK, Polskie T-wo Księg. Kol. „Ruch", Kaszubski Rynek 21.
INOWROCŁAW, Księgarnia St. Knasta.
KATOWICE, L. Fiszer, Poprzeczna 2.
KRAKÓW, Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Rynek 23 i Polskie T-wo Księg. Kolejowych „Ruch", Szczepańska 9.
LUBLIN, Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Hotel Europejski.
LWÓW. S. Sokołowski i S-ka, Jagiellońska l. 7 i Polskie T-wo Księg. Kolejowych „Ruch", Kilińskiego 1.
ŁÓDŹ, Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Piotrkowska 105; Biuro „Promień", Piotrkowska 81; Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2.
PARYŻ VI, Librairie Franco-polonaise, 123, Boulevard St. Germain, 123.
POZNAŃ, Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Ratajczaka 36; Fiszer i Majewski, Gwarna 19; „Par", Oddział miejski, ul. 27-go Grudnia 18 i Polskie T-wo Księg. Kolejowych „Ruch", plac Wolności 3
PRZEMYŚL, Księgarnia A. Juszyński i F. A. Kuzia, Franciszkańska 15.
TORUŃ, A. Wojciechowski, Stary Rynek 4
WARSZAWA, kantor redakcji „Tygodnika Illustrowanego", Zgoda 12; Polskie T-wo Księg. Kolej. „Ruch", Al. Jerozolimska 63; biuro „Promień", Widok 19
WARSZAWA — PRAGA, Księgarnia Z. Jeżewskiego, Targowa 67.
WILNO, Gebethner & Wolff i S-ka, ul. Mickiewicza 7; Polskie T-wo Księgarni Kolejowych „Ruch", Sp. Akc., Wileńska 14.
ZAKOPANE, Gebethner i Wolff, Krupówki.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE KSIĘGARNIE W KRAJU I ZAGRANICĄ I KSIĘGARNIE KOLEJOWE „RUCH".

OGŁOSZENIA DO „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO" PRZYJMUJĄ:

Ajencje reklamowe:

WARSZAWA: T. Pietraszek, Marszałkowska 115; Rudolf Mosse, Marszałkowska 124; Polska Ajencja Publicystyczna, Marszałkowska 95; L. Metzl i S-ka, Jasna 17; Międzynarodowe Biuro Ogł., Senatorska 29; „Ruch", Wydz. Ogł., Poznańska 38; Bernard Buchweitz, Fredry 4; Jan Apte, Zielna 26; „Par", Moniuszki 2; „Merkury", Królewska 49; KRAKÓW: „Par", Rynek 46; CIESZYN: Rudolf Pszczółka, Rynek; KATOWICE: „Par", Poprzeczna 8; LWÓW: „Par", Akademicka 14; POZNAŃ: Pol. Agencja Rekl. „Par", 27-go Grudnna 18; WILNO: Biuro Jutana, Niemiecka 4; GDAŃSK: „Devera", Kohlenmarkt 10.

Zagranicą:

WIEDEŃ: A. Exp. J. Dannenberg, Singerstrasse 2; A. Exp. M. Dukes Nachf, Wollzeile 16; KOPENHAGA: Ervin Wassey et Co., Montegarde 19; BERLIN: „Ala", A. G., Potsdamerstr. 27a; „I. H. A.", Potsdamerstr. 13; PARYŻ: Agence Jegù, Rue de Rome 27; PRAGA: R. Jirik, ul. Zatise 19; WROCŁAW: R. Landsberger, Königstrasse 2; BREMA: W. Scheller, Sögerstrasse 16

NOWOŚCI SEZONOWE

JEDWABIE
WEŁNY
MATERJAŁY NA UBIORY
MĘSKIE

WIOSNA—
—1931

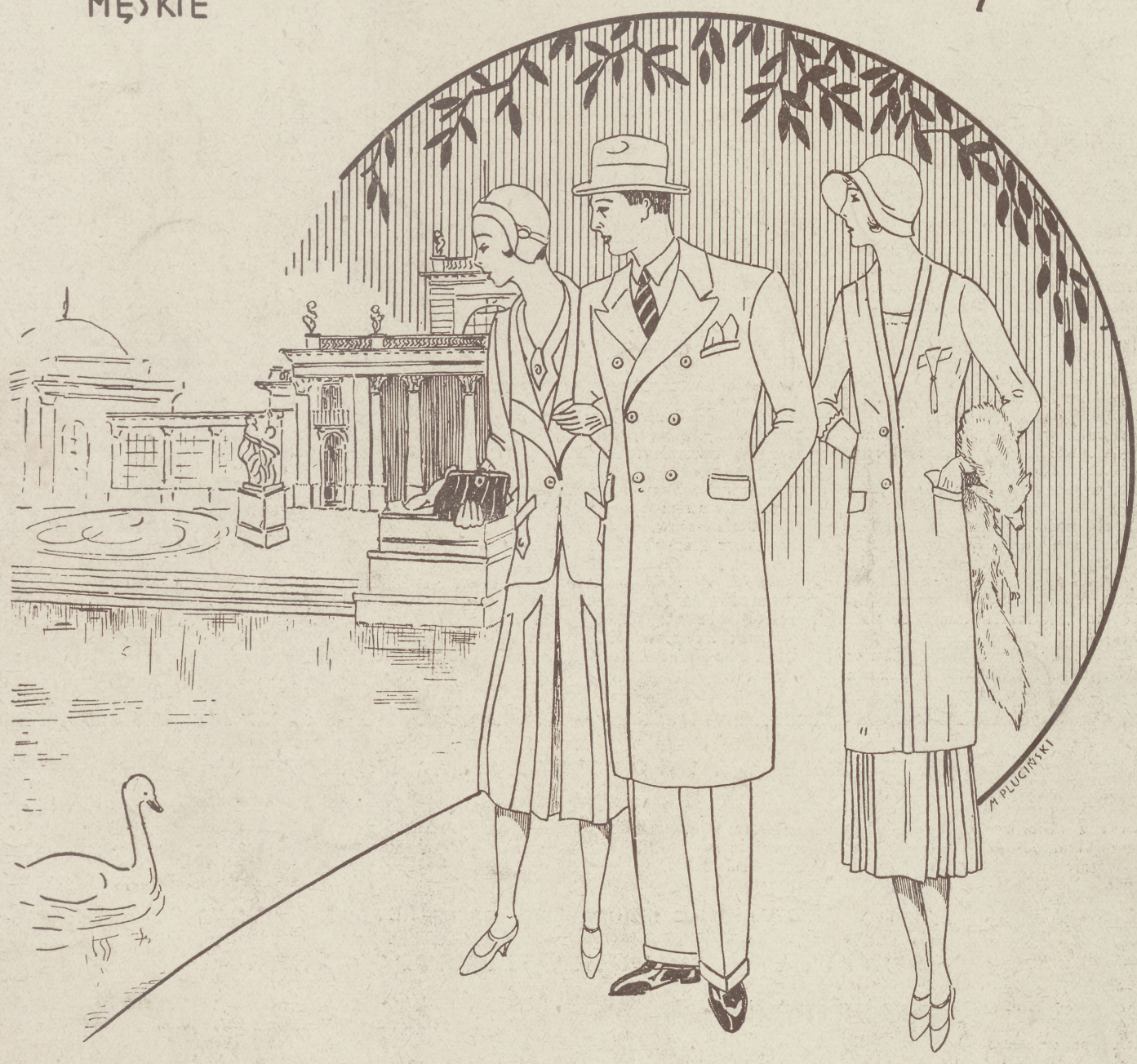

KONOPKA i REDULSKI
WARSZAWA
MARSZAŁKOWSKA 130

Klisze i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa

Opłata pocztowa opłacona ryczałtem